

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI

Warszawa, 19 marca 1950 r.

Nr 11 (225)

TREŚĆ NUMERU: Roman Kołoniecki — Kochankowie z Warszawy; Zygmunt Lichniak — W domu przywróconego dzieciństwa; Wojciech Kętrzyński — Urbi et Orbi; Zygmunt Jakimiak — Doktor doktorów; Stanisław Kolbuszewski — Rzecznik sztuki i postępu; Z apokryfów starochrześcijańskich: Historia Józefa Cieśli, tłum. z arabskiego Natalia Rykaczewska; Jan Józef Szczepański — Różdżkarz; Tydzień kulturalny; Zygmunt Lichniak — Wyprawa reportera; Co piszą inni...

Jan Papini

Tłum. Zofia Kaczorowska

WĘDRÓWKA MALKA

Malko, zaufany sługa Najwyższego Kapłana był to piękny mężczyzna, około lat trzydziestu, wysoki i dobrze zbudowany, o ciemnej skórze i oczach, bardziej zuchwały niż odważny, bardziej dumny niż żywy. Urodzony w Świętym Mieście, syn strażnika w Świątyni, powiernik Kaifasza, ulubieniec kobiet i postrach nawet wśród Lewitów, wyobrażał sobie, że jest jednym z panów Jeruzolimy, przeznaczonym do wielkich rzeczy. Przyjaciele i towarzysze, aby go sobie zaskarbić, powiększali jeszcze z codzienną złośliwością tę wrodzoną zarozumiałość, zwąc go Malko — tj. Ma-Lek, panujący — i odtąd wszyscy nazywali go Malkiem, chociaż jego prawdziwe imię było Ezechiasz. Wzdęty wrodzoną próżnością i pochlebstwami podwładnych i obłudnych dworzaków, Malko oczekiwał stale jakiejś niezwyklej okazji, by ukazać swą wartość i wystąpić przed ludem, torując sobie drogę do większych zaszczytów. Prydomek, który mu dano, czyż nie był może wróżbą, przepowiednią? Na tym Wschodzie, jeszcze gorącym od wojen domowych i buntów, wszystko wydawało się możliwe dla rozmiłowanej w wojnie wyobraźni, jak też dla głupiej chełpliwości.

Kiedy Malko w czwartek rano, wcześniej niż inni, dowiedział się, że wieczorem w okolicy miasta ma być pojmany wódz bandy heretyków, fałszywy Mesjasz, który z orszakiem uzbrojonych przybył z Galilei, by zburzyć świątynię, i jeśli wierzyć ludowym pogłoskom, także Jeruzolimę, gorliwy sługa wyobrażał sobie, że ten dzień może stać się początkiem nowego okresu jego życia.

Zaledwie Kaifasz skończył jeść — jedyna chwila w ciągu dnia, w której można było coś od niego otrzymać — zjawił się Malko z obrzędowym zgięciem wielkiego ciała, który stosował tylko bardzo rzadko i jedynie wobec Najwyższego Kapłana.

— Czy mogę cię prosić o łaskę? Kaifasz nie odpowiedział, lecz nie zrobił też gestu odpychającego, więc Malko ciągnął dalej:

— Powiedziano mi, że dziś wieczorem ma być pojmany twój niebezpieczny wróg, który nocą ukrywa się koło Jeruzalem. Czy mogę stanąć na czele ludzi, którzy pójdą go uwięzić?

Kaifasz popatrzył mu chwilę w oczy, uśmiechając się ironicznie wśród brody.

— Nie wierzę, odzekli, by zwierzył się tak groźny, jak sobie wyobrazasz. Seganowi należałoby

się honor, o który prosisz, lecz nie warto go trudzić dla tuzina Galilejczyków. Idź więc i dobrego polowania. Weź ze sobą kogo chcesz i porozumiej się z Judaszem z Iskariotu, który ma wskazać tego, kogo macie pojmać. Zaledwie będziesz go miał, przywiedź go do mnie, choćby to była pora zmiany drugiej straży w nocy.

Malko uroczyście podziękował zwierzchnikowi i pobiegł, by uporać się z jego małym wojskiem. Nie mógł zwrócić się do strażników świątyni, którzy nie mogli mieszać się z motłochem i narażać się na nieczyste kontakty. Trzeba było także działać w wielkiej tajemnicy, by nic nie przedostało się do ludu, gdzie mógłby znaleźć się ktoś, kto by ostrzegł uczniów okrzykanego Syna Dawida.

Dlatego Malko musiał uciec się do swoich wielbicieli i pochlebców, jak on sług w domu Kaifasza lub Annasza i do pewnych przyjaciół, ludzi bez zawodu i przynależności, którzy chętnie zerowali w nocy, by żyć próżniaczek w dzień.

Malko zebrał ich z pięćdziesięciu i na wielkim dziedzińcu domu Kaifasza o pierwszym zmierzchu dokonał przeglądu, jak generał, który przygotowuje się do bitwy.

Byli tam pyski różnego wieku, różnej farby i druku. Młodzieniaszki o oczach czarnych i różowych wargach; starcy brudni od szanownego i gęstego tłuszczu; jakiś desperat o głowie i kolorze węża; niektórzy smutni i poważni przypominali zrzuconych kupców, karanych złodziei, lub niedoleczonych szaleńców. Paru było uzbrojonych w miecze, jeden nosił rodzaj lancy; większość miała sękaty kij, błyszczące od starożytności, Malko przeglądał po kolei swoich wojowników i wydał się zadowolony: pierwszy raz w życiu dowodził tyloma ludźmi. Powiew królewskiej dumy na pełnił serce sługi.

Wręczył najmłodszemu cztery latarnie a sam zawiązał się w płaszcz, bo robiło się zimno, a nie widać było Iskarioty.

W końcu wśród głębokiej nocy, usłyszano drżące macanie, a potem ostrożne drapanie w drzwi. Otwarto. Wszedł na dziedzińiec człowiek krępy o czerwonych włosach, wysokich ramionach, niskim czole, o twarzy bezdusznej, ciemnej, niezamieszkałej — twarzy umarłego kamienia. W prawej, wzniesionej ręce ścisnął kawałek chleba.

Malko zapytał:

— Czy możemy iść?

Judasz przytaknął ręką, w której trzymał chleb, po czym zwrócił się ku ciemnej ulicy, a za nim milczące wojsko, prowadzone przez Sługę, zwanego Królem.

Kiedy zbliżali się do Oliwnego Wzgórza, Judasz zatrzymał się i powiedział:

— Pocałuję Go. Uważajcie: to będzie On.

Malko zaś zwracając się do uzbrojonych:

— Nie dotykajcie Go. Chcę pierwszy położyć Nań ręce. Wy pomyślcie o Jego towarzyszach.

Szli dalej z większą odwagą: głosy uzbrojonych i ognie latarni przerywały ciszę i ciemność nocy. Malko, jak ostrożny kapitan, podzielił swą bandę na trzy zastępy i by przeszkodzić ucieczce wroga, kazał im wstępować wśród oliwek trzema różnymi ścieżkami. Przybyli. Judasz natychmiast rozpoznał Jezusa i delikatnie pocałował Go w usta. Malko, stojący obok, podniósł rękę, by schwycić ramię fałszywego proroka.

Lecz tymczasem z gęstego mroku wyskoczył człowiek z wydobytym spod płaszcza mieczem, opuszczył go na twarz Malka i obciął mu ucho. Malko zawył ze zdziwienia i bólu, lecz nie miał odwagi i siły, by raniącemu odpowiedzieć mieczem. Popatrzył nań zdziwiony — niosący latarnię zbliżył się do Piotra — i na zawsze wryła mu się w pamięć ta twarz wielka i uroczysta, te oczy głębokie, strzelające pełną miłości pogardą.

Jezus dotknął ręką prawego policzka Malka i zdawało się, że go pogładził. Ból znikł, przestało krwawić i skóra zamknęła się dookoła nowego wgłębienia.

Malko, ogłuszony i oszołomiony, nie myślał, by zemścić się na napastniku, ani, by podziękować uzdrowicielowi. Tylko schylił się do ziemi i macał wśród traw i kamieni, jakby szukając czegoś, co go gnębiło. Młodzieniec poświęcił mu latarnię i Malko nagle dostrzegł i podniósł zakrwawione ucho. Szybkim ruchem ukrył je na piersiach i w końcu rozglądał się dookoła. Jego napastnik i inni uczniowie znikli; Jezus, samotny i biały, stał wśród pozbieranej hołoty.

Biedny Malko nie mógł uczestniczyć w procesie i skazaniu Chrystusa, ani w triumfie swoich przełożonych. Tej okropnej nocy wrócił nie do pałacu Kaifasza, lecz do domu matki, gdzie ukrywał się wiele dni, nie wystawiając nosa za próg.

Przeszło Ukrzyżowanie i Pascha, Najwyższy Kapłan przypo-

mniał sobie o Malku i kazał go szukać w całym mieście. Lecz nikt nie umiał nic o nim powiedzieć. Od tamtej nocy nikt go nie widział. Matce Malko kazał przysiąc tajemnicę.

Przechodziły dni i tygodnie i Kaifasz nie myślał więcej o Malku: inny sługa stanął na czele sługusów Najwyższego Kapłana.

Malko, zamknięty w izbie, cierpiał, fantazjował i przeżywał myśli o rewanzu i zemście. Ta wyprawa, która miała być początkiem jego powodzenia, ujawniła jego tchórzostwo; ta noc, która miała być pierwszym krokiem do władzy i triumfu, skończyła się wstydem i ucieczką.

Dlaczego nie zemścił się natychmiast, dlaczego nie przebił mieczem tego wściekłego Piotra? Dlaczego przynajmniej nie rozkazał, by uwięzili także jego?

Nie umiał zrozumieć tego, co zaszło w tym fatalnym momencie. Wszystko we wspomnieniu było tajemnicze. Czyżby go zaczarowano tak, że stracił wszelką moc duszy i ciała? Może uczynił to fałszywy Mesjasz, którego właśnie aresztowali?

Lecz nawet to przypuszczenie nie mogło się ostać. Ten Jezus, którego Piotr bronił swym mieczem, zgnił (Malko pamiętał jeszcze jego słowa) swego popędliwego ucznia, podczas gdy on sam, ranny, znieważony, nie umiał zawiadnąć Piotrem i ukarać go.

Z jaką twarzą miał się teraz stawić przed Kaifaszem, który tak pragnął jego dobra, i przed towarzyszami, którzy go podziwiali, wierząc, że jest stworzony do lepszego losu? Co mógłby teraz zrobić, by stać się znowu godnym królewskiego planu? Czy był jeszcze czas na publiczną zemstę?

Wiedział, że fałszywy Mesjasz, ten sam, który go tak troskliwie uzdrowił — został przybity do krzyża i odczuwał radość; czyż nie On był początkiem jego nieśczęść?

Wiedział też, że Judasz, z wyrzutów sumienia, jak mówiono, że zdradził Mistrza, powiesił się na drzewie, i ta wiadomość pocieszyła go: o jednego świadka mniej.

Lecz gdzież byli inni uczniowie bluźniercy z Nazaretu? A przede wszystkim ów porywcy Piotr, który przywiódł go do tak smutnego stanu? Przynajmniej na nim chciał się zemścić za wszelką cenę.

Matka, posyłana codziennie do Jeruzolimy dla zbierania nowin, nie mogła się niczego o nim do-

wiedzieć. Mówiono tylko, że wraz z towarzyszami uszedł do Galilei.

Tymczasem Malko oszukiwał niepokój czekiwania, starając się zakonserwować swe biedne, odcięte ucho. Wróciwszy do domu, trzymał je długo w upalnym słońcu palestyńskiej wiosny; po czym włożył do gęstego i wonnego balsamu, który matka jego kupiła od Egipcjanina: i miał teraz okuch ciemny, pomarszczony i pachnący, który zaledwie przypominał cień dawnego kształtu. Malko jednak przywiązał się do tego strzępu kawałka swej skóry; trzymał go zawsze przy sobie w sakiewce z czarnej skóry i od czasu do czasu spoglądał nań, by przypomnieć sobie okrutną obelgę za tchórze lub szaleńca.

W końcu, gdy dni stały się krótsze, Malko zaryzykował wyjść z domu. Pod osłoną wieczoru wędrował po zapadłych uliczkach, zakrywając prawą skroń połą płaszczem, by ludzie nie spostrzegli jego hańby. W pewnych krajach obcięcie ucha było niesławą karą potwarców i złodziei.

Kto nie znał prawdy owej nocy, mógł go uważać za zbrodniarza, kto znał ją, musiał uważać go za tchórze lub szaleńca.

Biada mu, gdyby ujrzały go kobiety, które za dobrych czasów tak bardzo go kochały! Niech Bóg zachowa od rozpoznania przez tych, którzy byli świadkami jego powodzenia i jego niepowodzenia!

Lecz trzeba było w końcu zatroszczyć się o kawałek chleba. Ojciec od wielu już lat nie żył; matka była biedna; oszczędności nagromadzone uczciwie i nieuczciwie w domu Kaifasza były na wyczerpaniu.

Pomału Malko nabrał znowu odwagi. Owinął głowę białym sukniem, jak turbanem, by ukryć słomotne uszkodzenie, i odwiedzał panów i kupców, ofiarowując im swe usługi. Lecz nikt ich nie chciał przyjąć: ta opaska, niezwykła u Żyda, który nie był kapłanem, czyniła go podejrzanym.

Gdy żądano, by ją zdjął, Malko uciekał na łeb i szyję, co powiększało jeszcze podejrzenia. Wreszcie pewnemu rozmieniaczowi monet udało się zerwać mu ją niespodziewanie z głowy i natychmiast spostrzegł brak ucha. Zaczęła więc natrząsać się i zwoływać ludzi i trzymał mocno Malka za ramię, aby wszyscy go widzieli. Nieszczęśliwy musiał drapać, gryźć i kopać, aby się wyrwać wreszcie z krzyżącego tłumu szycerów.

III.

Czas przechodził, a Malko nie mógł znaleźć żadnego zajęcia: wszyscy nim pogardzali i szydzili zeń. A tymczasem nędza rosła, a z nią zanikał wstyd, rozwiewał się dym pychy.

Dumny Malko, przyszedł książe, stał się z biegiem lat jednym z tak licznych żebraków, plądrujących Święte Miasto. Nie ukrywał więcej brakującego ucha, aby wzbudzić śmiech lub litość, opowiadał w gronie osób historię swego życia, upiększając ją bajecznymi frędzlami: że towarzyszących Jezusowi było więcej niż stu i wszyscy byli uzbrojeni, że on zabił z nich kilku, lecz Jezus, który był czarodziejem, sprawił, że wszyscy zmartwychwstali i znikli. Malko pokazywał się zwłaszcza jako męczennik wiary wielkanocnym pielgrzymom, przy byłym z dalekich krajów, i jako dowód wyciągał ze skórzanej sakiewki odcięte ucho, okrucieństwo i pomarszczony, który wydawał się figą, źle wzeszłą i suchą. Litościwsi lub ciekawsi dawali mu kilka monet i tak Malko zdoby-

wał swe nędzne życie, istota pogardzana, nienawistna i nienawidząca.

Jednakże w sercu obdartego półbłazna nigdy nie osłabła żądza zemsty. Ten Piotr z kilkoma swymi towarzyszami ośmielił się wrócić do Jeruzolimy, a nawet opowiadać ludowi o swoim Mistrzu, oplwanym, biczowanym i przybitym do krzyża.

Malko, siedł za nim wszędzie i śledził. Kiedy Piotr nauczał lud, Malko stawał przed nim i wpatrywał się weń uporczywie. Nie ośmielał się nań rzucić, jakby chciał to uczynić: Malko był źle widzianym obdartusem, a Piotr wszystkim, nawet kapłanom, nakazywał respekt, a przy tym nigdy nie był sam. Lecz pozbawiony ucha mścił się jak mógł: to lżył Apostoła zdaleka, to szerzył wśród ludu okrutne oszczerstwa przeciw niemu, to dobrowolnie szpiegował jego uczynki i słowa na rzecz pewnych uczonych w Piśmie, którzy więcej od innych nienawidzili nowej sekty.

Kiedy dowiedział się, że Piotr wraz z Janem został uwięziony,

serce Malka skoczyło z radości: miał nadzieję, że Piotr, jak przedtem Szczepan będzie skazany na ukamienowanie i już odczuwał przedwczesną rozkosz na myśl o celowaniu kamieniami w znienawidzoną głowę. Lecz Apostołowie wkrótce potem zostali uwolnieni i rozczarowany żebrak płakał ze złości.

Lecz Piotra znowu zamknięto w więzieniu i Malko spodziewał się, że tym razem będzie inaczej: wiedział, że Agrypa pragnął śmierci niebezpiecznego siewcy schizmy. Gdy nagle rozległa się wieść, że Piotr, choć pilnie strzeżony, na oczach czterech żołnierzy, znikł tajemniczo z więzienia. Malko nie umiał znaleźć spokoju: teraz nie mógł nawet widzieć wroga, co stanowiło pewne, choć gorzkie i nikłe ujęcie dla jego bezsilnej nienawiści.

Kilka miesięcy potem powiedziano mu, że Piotr schronił się do Antiochii, gdzie odważnie wykonywał dalej swój zawód wędrownego kaznodziei. Malko nie mógł już żyć, nie prześladować w jakiś sposób sprawcy swego upadku, więc pieczo i zawsze żebrząc, udał się do Antiochii.

Kazał sobie wskazać dom Piotra i dniem i nocą siedł za nim. Jeśli Apostoł spojrział nań przypadkiem, wbił weń złe spojrzenie, wykrzykiwał się i wskazywał palcem skroń, jakby chciał przypomnieć winnemu haniebne okaleczenie. Lecz Piotr go nie poznawał. Pewnego dnia myśląc, że prosi o jałmużnę, dał mu kilka monet, Malko wziął je, a potem klnąc i spluwając, rzucił je gniewnie w twarz Apostoła.

Gdy Piotr opuścił Antiochię i zatrzymał się u braci w Koryntu: Malko znalazł schronienie na statku, który żeglował ku Grecji i pojechał za nim. Żyć tu czy tam było dlań rzeczą obojętną, byle mógł szpiegować i złorzeczyć uczniowi Chrystusa. W każdym mieście znajdował łatwowiernych i pobożnych Żydów, którzy słuchali go z litością i dawali jałmużnę. Tylko Grecy kpili zeń:

— Uspokój się, Malku, mówili. Królowie są zawsze sławni z powodu ucha. Przypomnij sobie ucho króla Midasa lub króla Dionizosa z Syrakuz.

Tymczasem szybko biegły smutne lata i Malko się starzał. Lecz w duszy jego panowała absolutna i pocieszająca pewność. Pewnego dnia Piotr niesławną śmiercią zapłacił za swe głupie mowy, za stare i nowe winy. Lud rozwścieczony lub niezużyty kat pomściłby w końcu i Malka, kładąc kres jego niepokojom, lecz Piotr znikł także z Koryntu i przez kilka lat żebraczy pielgrzym nie mógł się dowiedzieć, gdzie pojawił się znowu jego napastnik: jedni mówili, że wrócił do Antiochii, inni, że widzieli go w Tyrze, lub Samarii. Malko wszystkich pytał o nowiny i wszystkim się polecał, nie chciał umrzeć, nie będąc świadkiem skazania tego, który na zawsze złamał jego życie.

W końcu dowiedział się od wielu świadków, że Piotr żył spokojnie w stolicy Imperium.

Nie było łatwe dla takiego biedaka jak on udać się do Rzymu. A jednak Malko, żebrząc, prosząc i oszczędzając nawet na chlebie, zdołał pewnego deszczowego dnia w maju wylądować w Ostii. Pieczo, głodny i zakurzony, przybył nocą do Rzymu.

Spotkany w ulicznej tawernie żyd zaprowadził go do Trastewery, dzielnicy, zamieszkałej przez hebrajczyków i polecił rodzinie bogatych, praktykujących żydów, którzy słysząc o kolejkach losu Malka, przyjęli go do domu, jako gościa. Pomału, pomału do-

wiedział się wszystkiego o Piotrze, o założonym przez niego w Rzymie kościele, o podejrzeniach i nieporządkach, wywołanych przez chrześcijan. Nastąpił 817 rok liczony od założenia Rzymu i przeszło siedem pięcioletnich okresów od złowieszczej nocy Gethsemani. Malko był już starszym, zgarbionym, wychudłym i siwym, który w niczym nie przypominał chełpliwego sługi Najwyższego Kapłana. Lecz podtrzymywała go zaciekła i dzika nadzieja: być widzem krwawego końca Piotra.

W tym jeszcze roku nastąpił dlań upragniony dzień: Neron zdecydował się już na zniszczenie chrześcijan i wydał właśnie rozkaz, aby wykonano wyroki wydane na zwierzchników Rzymskiego Kościoła. Pawłowi, który był obywatel rzymskim, przysługiwał zaszczyt być ściętym; Piotr musiał być ukrzyżowany.

Malko wszystkie godziny dnia i nocy spędzał w pobliżu więzienia, gdzie stary Piotr, modląc się, oczekiwał upragnionej śmierci, nie wiedząc, że to samo pragnienie każe cierpieć innemu starcowi poza murami.

Mglisty poranek czerwcowy przyniósł w końcu upragnioną ulgę staremu prześladowcy. Zanim ukazało się słońce, z więzienia wyszło kilku żołnierzy rzymskich, prowadząc w środku, związanego w przegubach rąk, Piotra. Za nim jechał wóz, na którym leżał wielki, dębowy krzyż.

Ulice były puste: mały orszak skierował się ku gajom Watykanu. Malko, trzymając się nieco na uboczu, by nie zwracać na siebie uwagi, postępował za żołnierzami i serce biło mu gwałtownie, upojone piekielną radością.

Przybyli na małe wzgórze i żołnierze zaczęli wbić krzyż. Wtedy Malko nie mógł dłużej wytrzymać: zbliżył się do orszaku i drżący zwrócił się do Piotra.

— Czy poznajesz mnie? Czy sobie przypominasz? Piotr milczał: nie umiał nadać imienia tej twarzy pomarszczonej i wzburzonej.

— Udajesz, że mnie nie znasz? Nie pamiętasz nocy, kiedy został uwięziony twój Mistrz? Nie przypominasz sobie Malka, sługi Kaifasza? Ja jestem tym Malkiem, a ty właśnie mieczem obciąłeś mi ucho. Ten cios był początkiem wszystkich moich nieszczęść, z twojej winy zostałem posmiewiskiem ludu i psem głodnym u drzwi bogaczy. Od wielu już lat oczekuję tego dnia. Dzisiaj zapłacisz krwią za wszystkie zbrodnie i wiedz, że jestem szczęśliwy.

Piotr wysłuchał go z pokorą i uczył litość dla tego nieszczęśliwca, zatrutego jadem i szaleństwem nienawiści.

— Masz rację, powiedział. Tej nocy, nieprzytomny od bólu, zawińłem wobec ciebie. Mistrz mój słusznie mnie zganił za ów czyn zbrojecki, ale żal nie naprawił błędu i bólu. Lecz nie chcę umierać bez pogodzenia się z tobą. Przebac mi, Malku. Obaj jesteśmy starzy i zmęczeni, a ja za parę chwil stanę przed naszym Ojcem. Odrzuć nienawiść, zapomnij urazy, przebac mi!

I mówiąc to, książe Apostołów, głowa Kościoła w Rzymie i Jeruzolimie, pierwszy Wikary Chrystusa, ukląkł na spalonej trawie przed zatrwożonym Malkiem. Wielka, biała, pochylona głowa Piotra, zdawała się oczekiwać od swej ofiary ostatniego błogosławieństwa.

— Nie chcesz przebaczyć umierającemu?

Lecz człowiek bez ucha zdawał się nie słyszeć, lub też zdumienie pozbawiło go mowy.

Centurion, który w pewnej odległości przyglądał się dziwnej, dla niego niezrozumiałej rozmowie, ponieważ starcy rozmawiali po armejsku — zbliżył się podejrzliwie, spostrzegłszy, że skazaniec ukląkł przed nieznajomym.

Schwycił Malka za ramię i krzyknął:

— Kim jesteś? Kogo szukasz? Co robisz tu? Zapewne jesteś jednym z tych żydów, którzy chcieliby zburzyć Rzym. Jak się nazywasz?

— Malko z Jeruzolimy. Nie jestem jednym z tych. Nie jestem chrześcijaninem. Przeciwnie jestem największym wrogiem tego oto Piotra, którego macie ukarać za jego zbrodnie.

— Nie wierzę ci. Jeśli on, głowa chrześcijan, klęka przed tobą, jak przed Bogiem, to znaczy, że jesteś w sekcje wyższy nawet od niego.

I zwrócił się do żołnierzy:

— Weźcie go i zwiążcie pod tą sosną. Kiedy skończymy z tym jego współnikiem, także jego poprowadzimy przed trybunał.

Inni żołnierze siłą podnieśli Piotra i zaczęli przybijać do krzyża, z głową w dół. Malko patrzył i drżał. Drżał z rozkoszy i przerażenia. Ta godzina, której przez tyle lat oczekiwał, jak wyzwolenia, była może ostatnią godziną jego własnego życia. Dlaczego Bóg go karał z takim okrucieństwem?

Jeden z żołnierzy, który miał go zabrać, spostrzegł, że brakowało mu jednego ucha.

— Spójrz, rzekł do towarzysza, obcięto mu już ucho. Pewno to stary złodziej lub niewolnik, zbiegły z więzienia. Chciałbym mu obciąć i drugie ucho, aby zobaczył grymasy tego niechłujnego hebrajczyka.

Mówiąc to, uderzył Malka, który nie chciał się oddalić od krzyża, gdzie Piotr, z trudem unosząc spuszczoną w dół głowę, patrzył nań oczami, mętnymi od płaczu i agonii.

— W drogę! rozkazał żołnierz, odciągając Malka.

Lecz przerażenie i zgroza tak dalece zawładnęły nieszczęsnym obdartusem, że zaczął rzucać się, jak niemowlę, a rozpacz dodała mu tyle siły, że zdołał wyrwać się z uścisku kilku żołnierzy, którzy starali się go przytrzymać i związać.

Jak opętany szaleniec, zaczął uciekać w stronę gaju, a za nim dwaj wściekli żołnierze. Wyciągnęli miecze i wielkim głosem grozili uciekającemu.

Malko potknął się o uschły korzeń drzewa i upadł. Wtedy dopadł go jeden z żołnierzy i nieprzytomny od gniewu, wznosił miecz nad twarzą leżącego i obciął mu pozostałe ucho.

Dwa strumienie krwi wytrysnęły z rany. Malko zamknął oczy i leżał na ziemi, jak martwy, bez wyдання okrzyku ni jęku. Żołnierze, nieruchomi patrzyli nań i nie wiedzieli, co robić.

Ciemna krew płynęła powoli z policzka Malka. A jemu zdawało się, że słyszy tętent triumfu, a potem muzykę fletów tak słodką, jakiej jeszcze nigdy nie słyszał. I w delirium fantazjował chełpliwie, że wszystko było ku jego chwale, dla przyjęcia wielkiego króla, który wracał, odniósłszy wspinał się zwycięstwo nad swymi wrogami.

I tak umarł, z upływu krwi, w tym samym miejscu i w tym samym dniu, co ukrzyżowany Piotr, Apostoł i Papież — słynny sługa Kaifasza, Ezechiasz, zwany Malkiem.

Jan Papini

Roman Kołoniecki

Kochankowie z Warszawy

Jest jesień, a po niej nastąpi zima, wiosna i lato, łaskawe lato, błogostawione lato —

*Dlatego, że mnie kochasz;
Każdy ranek pachnie wanilią, cynamonem i Wielką Niedziela,*

Dzeń ma dwadzieścia cztery godziny pełne ciebie, a noc jest wiecznością —

*Dlatego, że mnie kochasz;
Oczy dzieci idących parami na spacer nucą piosenkę, którą dopiero jutro rozniesie echo*

*Wlaź kotek na płotek i mruga, żeby się go nie bać (choć czarny jest jak atrament, jak sadze, jak smoła),
Nigdzie w Polsce niebo nie było nigdy równie niebieskie, jak teraz nad Warszawą i nad moim szczęściem —*

*Dlatego, że mnie kochasz;
Południe jest brązowe — jak ciało lekkoatlety nasycone oliwą, słońcem i weselem*

Drzewa owocowe kwitną w twojej wsi po raz wtóry w tym roku

Z dna morza zielonego w parku wyblęskują powoli złote archipelagi

Nici babiego lata związały nas mocniej, niż łańcuchy Lelum i Polelum

Jesień wiotkimi palcami przesypuje mi siwiejące włosy i wzdycha po kryjomu —

*Dlatego, że mnie kochasz;
W sercu moim łopocą uroczyście flagi wszystkich demokracji radości na świecie*

*Kobiety poubierane są w łaki, sady i pawiookie jeziora
Grajek uliczny wydymuchuje z puzonu makolągwy, turkawki, szczygły i kosy*

Wiatr podszywa kubraczek młodocianemu włóczędze, który gwiżdże sobie z wiatru i chłodu

Szałwia na magistrackim klombie jest czerwiejsza, niż strofy Międzynarodówki

Ryby w Wiśle śpiewają stokroć piękniej, niż w dziewięciopasmowej rzece Ukajali —

*Dlatego, że mnie kochasz;
Stolica mojego szczęścia liczy więcej nowonarodzonych pięter, niż Manhattan*

Robotnik podnosi z gruzów ostatnią cegłę na dłoni i zawiesza ją jak obłok

Gwiazda ulic, którymi co dzień chodzisz, świeciła mi w godzinę urodzenia

Autobusy rozwożą młodzieńską uśmiechniętą Polskę po całej serdecznej Warszawie

Dopóki wieczór, zuchwały myśliwy, gołymi rękami nie upoluje Wielkiej Niedźwiedzicy

Domy jak okręty bez kotwic odpływają w mgłę oszalałych, niedorzecznych marzeń

Wygasa już traktat przymierza między mną i młodością — szkoda!... Szkoda —

Dlatego, że mnie kochasz.

Zygmunt Lichniak

W domu przywróconego dzieciństwa

Gdy, zmęczony całonocną podróżą do Świebodzina, stoisz przy otwartym oknie gościnnego pokoju zakładu, spojrzenie wyciąga myśli na wagary ku dalekiej linii lasów, szerokiemu rozlewisku wody, iskrzącej się niebieskim srebrem, a później dopiero, wracając ponad czerwonymi dachami miasteczka, omijając wysoki komin fabryczny, z nagłym zdziwieniem ogarnia sprawę najbliższe, ogród i dziedzińce.

Jak to? Tutaj duże boisko? Tutaj siatki? Plac zabaw? Przecież tutaj przebywa sześćdziesiąt troje kalekich dzieci! Przecież tutaj sześćdziesiąt troje małych kalek czeka na protezy, na utracenie dzieciństwo, zabraną młodość...



Reporter nie rozumie. Reporter przypomina sobie wiadomości zebrane przed wyjazdem z Warszawy. Z sześćdziesiąt trojga dzieci — kalek, mieszkających w świebodzińskim zakładzie leczniczo-wychowawczym, prawie połowa (bo 43 proc.) to ofiary nieszczęść wojennych, reszta to tragiczny dowód nieuwagi kierowców, albo dziecięcej, lekkomyślnej żądzy przygód. Już dwadzieścia siedmioro (w tym siedmioro podwójnie amputowanych) dzieci chodzi, a raczej uczy się chodzić na protezach. Inne schorzenia lub kalectwa to: brak rąk, stopy szpotowe itp.

Znów powraca pozornie błahe, natrętne pytanie: dla kogo ta siatkówka, ten plac zabaw, huśtawka? Czy w siatkówkę grają dzieci na protezach? Czy skrzywdzeni kalectwem chłopcy i dziewczęta mają ochotę do zabaw? Czy cieszą się huśtawką dzieci z powykręcanyimi stopami lub bez rąk?

Okno trzeba zamknąć, bo powiewy lutowego przedwiośnia wezmą ostrym chłodem. Słońce chociaż nie grzeje, świeci jednak krzykliwą jasnością, pomnożoną przez tafle czystych szyb. Na stole wybliskuje nagle żelatynowa okładka jednego z albumów pełnych fotografii. W albumie — niespodziewana odpowiedź.

Tak! Dzieci — kaleki grają w siatkówkę. Nie, nie na protezach. Czasami nawet bez kuli. Stoją na jednej nodze. Podwójnie amputowani nieomal siedzą na murawie. Ale grają! Chcą mieć dzieciństwo jak tysiące innych, zdrowych dzieci. Więcej: chcą być sportowcami, bić swoje rekordy, zdobywać radość mistrzostw. Oto młody chłopak zapomniał nieomal, że stracił w czasie wojny nogę. Waży w dłoń ciężar żelaznej, okrągłej kuli, którą wypchnie z dumą na kilkumetrową odległość. Nie zwa-

ca uwagi na kulę drewnianą, której, niestety nie może odrzucić od siebie, aby pokonać bez jej pomocy taką odległość, jaką przemierzyła wypchnięta jego ramieniem kula żelazna...

Oto młodszy kolega z potwornie powykręcanyimi stopami, podpierając się drewnianą kulą, bo wyschłe nóżki nie dźwigną tułowia, szykuje się do rzutu dyskiem. Trzeba odegnąć wizję „Dyskobola“ Mirona, trzeba zagłuszyć grającą w pamięci strofy Wierzyńskie go, bo porównania zbyt bolesne i... zbyt niesprawiedliwe.

Oto jeszcze inny chłopiec na chwilę przed skokiem do wody. Gdy młode ramiona rozbijają tafle jeziora, gdy rytmicznym ruchem pokonają opór wody, gdy z oczu młodego pływaka roześmieje się radość zapominającego o krzywdzie życia, nikt nie pozna w tym chłopcu kaleki, nikt nie zauważy smutnej, pustej nogawki spodenek kąpielowych...

**

Światło słoneczne ześlizgnęło się ze stołu i powoli zawędrowało w róg pluszowej kanapy. Powoli mała stos albumów, domagających się przejrzenia. Rósł przed oczyma kształt świebodzińskiego dzieła. Z fotografii, lakonicznych napisów, zapamiętanych wiadomości prasowych układała się historia świebodzińskiej akcji.

Fotografie opowiadały o trudnych zadaniach wstępnych. Trzeba było osuszyć teren całego zakładu, trzeba było stoczyć zwycięską walkę z niebezpieczeństwem niezdrowej wody podskórnej. Już w marcu 1949 roku na terenie zakładu odbył się kurs szkoleniowy dla Państwowego Instytutu Pedagogiki Specjalnej. Już wcześniej zaczęto przyjmować nowych wychowanków, których podania, nagromadzone setkami, zalegały biurka poszczególnych ośrodków zdrowia, instytucji czy ministerstw. Już w lecie zaczęto myśleć o specjalnej akcji wczasów. Już w dniach 16 lipca — 15 września zorganizowano w Wilkowie obóz, a w ramach obozu — turniej sportowy! Już z początkiem nowego roku szkolnego ruszyła na terenie zakładu normalna siedmioklasowa szkoła powszechna. Już w październiku wizytujący Świebodzin — na zaproszenie Ministerstwa Zdrowia, jeden z najwybitniejszych pediatrów świata dr Howard A. Rusk, wyrażał wielkie uznanie dla dokonanej pracy i zachwycał się jej metodami pisząc później na ten temat specjalny artykuł w „New York Times“, (Sunday, Nov. 13, 1949).

**

— Pan dyrektor prosi pana do siebie.

W gabinecie dyrektorskim historia świebodzińska, opowiedziana przez zostawione na gorze albumy, pęczynie cyframi, rozgrzewa się ogniem ludzkiego zapału, czasami potyka się i krzywi boleśnie, urażona sprawami, których nie ma na zdjęciach, bo są to sprawy subtelniejsze, niż emulsja błony fotograficznej...

Świebodziński zakład leczniczo-wychowawczy walczył i walczy z olbrzymimi trudnościami finansowymi. Subwencje Ministerstwa Zdrowia, Kuratorium Okręgu Szkolnego w Poznaniu, dotacje Ubezpieczalni Społecznej i dotychczasowa pomoc „Caritasu“, który jest prawnym właścicielem i opiekunem zakładu — nie rozwiązują

tego trudnego problemu. Nie trzeba przytaczać cyfr, kosztorysów i preliminarzów, trzeba jednak powiedzieć jasno i dobitnie: „Caritas“ stanowić musi główną siłę, w oparciu o którą działać i rozwijać się będzie akcja świebodzińska.

Stumilionowa dotacja Rządu Polski Ludowej, złożona na ręce przedstawicieli Tymczasowego Przymusowego Zarządu Zrzeszenia, ukonkretnia szansę materialnej opieki „Caritasu“ nad Świebodzinem. Nie wolno jednak zapominać, że głównym funduszem pozostaje w dalszym ciągu napływowy fundusz zbiórkowy. Czy trzeba powtarzać znane prawdy o nakazach miłosierdzia chrześcijańskiego? Czy trzeba przypominać przykazania i zobowiązania, o których każdy katolik zawsze pamiętać powinien? Czy nie wystarczy zrozumienie głębokiego sensu i celu akcji świebodzińskiej?

**

Oczy niezmordowanego dyrektora M. Leśkiewicza zapalają się jaśniejszym płomykiem. Masywna postać czterdziestoletniego mężczyzny porusza się żywiej w fotelu, do którego przykuła go od 1943 roku choroba Dürgera. Po amputacji obydwu nóg, sam skazany na protezy — głębiej, realnie rozumiał wielkie zadania akcji rehabilitacyjnej dziecka kalekiego w Polsce.

— Chodzi o to, aby młodemu, złamanemu kalectwem życiu, wrócić jego pełną, ludzką wartość. To już nie, tylko sprawa lekarza, to także sprawa wychowawcy. Proces rehabilitacji to nie tylko zabieg chirurgiczny, to także zabieg pedagogiczny. Trzeba usprawnić nie tylko ciało, trzeba zahartować i ukształtować w specjalny sposób psychikę dziecka kalekiego. Musimy walczyć nie tylko o przywrócenie dziecku możliwie pełnej sprawności fizycznej, ale także o stworzenie w nim tych cech charakteru, tej siły woli, która pokona wszystkie braki, która uczyni



z kaleki normalnego, zdrowego człowieka. To bardzo skomplikowany, ale bardzo istotny problem. Jego rozwiązanie wymaga wiele pracy. Trzeba stworzyć i wypróbować nowe metody, nowe sposoby walki z kalectwem jako ze zjawiskiem psychofizycznym. Zakład świebodziński jest pierwszym w Polsce, a bodajże pierwszym w świecie zakładem, który takie metody wypracował i wartość tych metod potwierdził osiągniętymi wynikami.

Teraz dopiero fotografie z albumu oglądanego rankiem, wydają się w pełni zrozumiałe. Bo te-

raz dopiero wiadomo, że chłopiec, który wypychał żelazną kulę, odrzucił wraz z nią ciężar kompleksów urazów, niewiary w życie normalne, zdobywał tytuł człowieka walczącego o siebie, o swoją pełnię.

**

Spotkaliśmy go później w czasie obchodu gmachu zakładowego. Uśmiechnął się mile i grzecznie uklonił. Reporter, patrząc na



odchodzącego w przeciwnym kierunku chłopca, czuł — boleśnie, wstydliwie, egoistycznie i radośnie — prężność swoich zdrowych nóg, na które w czasie nocnej jazdy pociągiem narzekał, że są za długie i nie mieszczą się pod przeciwną ławką. Szedł teraz prosto i bez trudu długim korytarzem. Obok na fotelu, jechał dyrektor. Tłumaczył, pokazywał, wyjaśniał.

Jak reporter ma wyjaśnić sens tamtych wyjaśnień? Jak wytłumażyć skupienie, radość i wielkie napięcie woli rysujące się na młodych, uśmiechniętych łagodnie twarzyczkach dzieci, które stawiały pierwsze kroki na protezach? Jak wytłumaczyć ważność ich pierwszego kroku? Przecież idea miłosierdzia chrześcijańskiego nie wymaga tłumaczeń. Przecież przykazania o miłowaniu bliźnich nie trzeba wyjaśniać.

Trzeba jednak przypomnieć, że każda nasza ofiara na cel akcji świebodzińskiej sprawi, iż słońce będzie świeciło tam weselej, weselej będą brzmiały uśmiechy młodych wychowanków i wychowawek zakładu. Ot, choćby ten mały skrab, przyglądający się nam z wielkim zainteresowaniem, szybkoć wkroczy w jaśniejszą przyszłość.

— Jak się nazywasz, chłopcze? Onieśmielone trochę — nie wiadomo czemu — zakłopotane spojrzenie spod nastroszonej wiechy włosów: — Jurek Andrychowski, proszę pana...

**

Ma dwanaście lat. I jedną rękę. Włożył na jakiś słup, poraził go prąd. Nie jest specjalnie inteligentny. Może nawet po prostu: mało inteligentny. Ale pewną historię z nim związaną warto opowiedzieć. Do zakładu świebodzińskiego przyszło pismo, które gorliwie przepisałem, bo wydawało mi się, że cała ta sprawa ma jakiś głębszy, istotniejszy sens. Oto odpis.

Ośrodek Zdrowia
Nowy Staw pow. Malbork
L. dz. 40/50
Nowy Staw dnia 19.I.1950
Do
Zakładu Leczniczo - Wychowawczego dla dzieci Kalekich pod Poznaniem w Świebodzinie.

Pod opieką tut. Ośrodka Zdro-

wia znajduje się Sojda Józef lat 9, któremu przed kilku miesiącami amputowano obie ręce na wysokości barku.

Ponieważ dziecko jest w domu maltretowane, z tego powodu, że samo przyczyniło się do tego kalectwa, włączając na słup sieci o wysokim napięciu, byłoby bardzo pożądane umieszczenie go w Zakładzie.

Chłopak wykazuje wielkie zamiłowanie do malowania trzymając pędzel w ustach, a ostatnio nogą.

Uprzejmie proszę o powiadomienie możliwie szybko czy kaleka powyższy może być przyjęty do Zakładu, jakie potrzebne dokumenty i ewentualnie kiedy może się zgłosić.

Nadmieniam, że chłopak ma ukończone II klasy szkoły podstawowej i jest synem małorolnego chłopca.

(—) Dr Z. Limon

Dyrektor musiałby odmówić, bo to wypadek specjalny, dziecko bez obydwu rąk wymaga specjalnej opieki i obsługi. Ale wieść jakos się rozeszła wśród wychowanków. Jurek biegał od jednego do drugiego, gadał, przekonywał. Nie potrzebował długo przekonywać. Do dyrektora przyszło drugie pismo. Tym razem od dzieci kalek.

Oto odpis:

Drogi Panie Dyrektorze!

Na specjalnym zebraniu samorządowym, — poświęconym omówieniu sprawy przyjęcia do naszego grona 9-letniego chłopca bez obu rąk — jednogłośnie uchwaliliśmy zgłosić P. Dyrektorowi prośbę o jak najszybsze skierowanie wyżej wymienionego chłopca do naszego Zakładu.

Czujemy się wobec warunków jakie zapewnia nam Zakład zobowiązani do tego, by o ile możliwe dzielić się z wszystkimi dziećmi kalekimi tym dobrem jakie jest obecnie naszym udziałem.

Nie chcielibyśmy rozumiejąc własne szczęście, pozwolić — by jakiegokolwiek dziecko kalekie w Polsce było poza nawiasem opieki potrzebnej do prowadzenia już nie tylko szczęśliwego, lecz w pełnym tego słowa znaczeniu ludzkiego życia.

Wzruszeni losem chłopca pragnęlibyśmy przyjąć go z pomocą i dlatego prosząc Pana Dyrektora o jego przyjęcie do Zakładu zobowiązujemy się do rozciągnięcia jak najtroskliwej nad nim opieki, by wynagrodzić mu dotychczasową spowodowaną kalectwem krzywdę.

Grupowi:
(—) Więckowski Stefan
(—) Noszczyk Marian
(—) Drobný Stefan
(—) Kościelny Alojzy

Przewodniczący Sam.

(—) Kośla Antoni

Dzieci kalekie chcą pomóc dziecku bardziej kalekiemu. Same łążą „na stołkach“, uczą się chodzić na protezach, ale usłysawszy o Józku Sojdzie „chcą wynagrodzić mu dotychczasową, spowodowaną kalectwem krzywdę“.

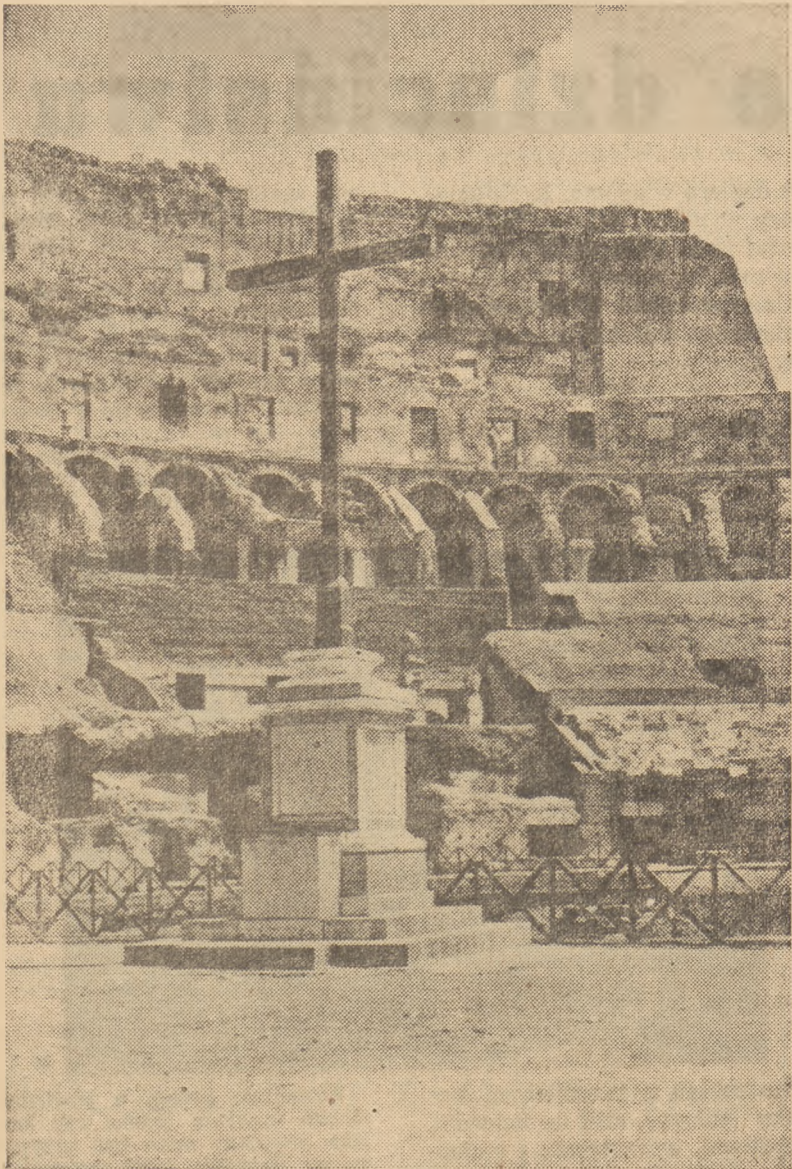
**

A my?...

Zygmunt Lichniak

Wojciech Kętrzyński

URBI ET



Colosseum

GDY pielgrzym stawia swe pierwsze kroki w Rzymie, przytoczony jest przeogromem dziejów promieniujących z murów Wiecznego Miasta. Nie wiele nawet wiedzy wystarczy, by móc odróżnić wyłaniające się z mroku wieków ślady starego Rzymu, śledzić rozwój jego imperium, by w melancholijnym spacerze wśród ruin Forum Romanum, Term Dioklecjana, czy Teatru Marcellego, odtwarzać zamarłe echa starożytnego świata. Można tak dalej kontynuować tę historyczną podróż, poprzez ślady Rzymu średniowiecznego, wspaniałość Renesansu, przepych Baroku, aż do nuworiszostwa mauzoleum Wiktora Emanuela i neo-klasycyzmu Foro Italicco. Nie byłaby to jednak droga pielgrzymia. Byłaby to droga śledzenia rozwoju Rzymu Pogańskiego, Rzymu świeckiego.

Kroki pielgrzymia też łatwo kierować po rzymskich ulicach. Gdyby chciał obejść choćby najgłośniejsze świątynie, oddać hołd choćby tylko największym zabytkom chrześcijaństwa — trzeba by wiele, wiele na to poświęcić czasu. Nie do uniknięcia byłoby też niebezpieczeństwo, by wśród tylu wrażeń nie zatarła się świadomość czym jest Wieczne Miasto i czego uczy jego przeszłość każdego wędrującego po świecie chrześcijańskiego pielgrzymia.

Proponuję wybrać drogę najkrótszą. Taką, która by prowadziła najwyraźniej poprzez epoki chrześcijaństwa, a na każdym zakręcie wskazywała najlepiej doświadczenia Kościoła. Pozostawmy też na uboczu pociągające swą egzotyką, czasem już tracące snobizmem przeżycia związane ze zwiedzaniem katakumb, czy też z odszukiwaniem śladów piotrowych na via Appia, koło kaplicy „Quo vadis...”

Ta droga najkrótsza prowadzi od Colosseum poprzez wzgórze Awentyńskie, poprzez Tybr w cieniu zamku Archaniola do progu świętego Piotra.

Na środku Colosseum wznosi się wysoko prosty, czarny krzyż.

Na tle majestatycznych, ogromnych w wymiarach, wspaniałych w harmonii ruin Colosseum — ten prosty krzyż czyni istotnie wstrząsające wrażenie. Jest świadectwem danym Prawdzie. Jest codziennym hołdem wieków złożonym najnowszemu i najplodniejszemu bohaterstwu. Bohaterstwu Krzyża.

Z Colosseum na Awentyń jest doprawdy niedaleko. Nawet w upalne włoskie słońce można ją przejść nie utrudziwszy się zbyt. Ale też przestrzeń tysiąca lat, dzieląca Colosseum od awentyńskich klasztorów jest dla życia Kościoła — mniej więcej takim samym szmatem drogi.

Jakież inny tu jednak panuje nastrój. Króluje tu skupiona cisza. Wśród gajów palm i cyprysów ukrywają się stare, omszałe klasztorne budynki. W jednym z nich, w klasztorze Benedyktynów św. Aleksego i Bonifacego przebywał ongi święty Wojciech. Na wzgórzu Awentyńskim skupiły się liczne klasztorne — św. Pryski, św. Saby, św. Balbiny. Między innymi, w klasztorze św. Marii in Aventino mieściła się ambasada ruchu kluńskiackiego, promieniująca odrodzeniowo na cały ówczesny świat chrześcijański.

Na śladach pogańskich świątyn budowano fundamenty katolickich klasztorów. Wzgórze Awentyńskie od wieków przyciągało ku sobie i skłaniało do modlitwy, kontemplacji, pracy wewnętrznej.

Świat Awentyńny pozornie jest jaskrawym przeciwieństwem świata Colosseum. Tam walka — tu skupienie. Tam ofiara — tu ciche, spokojne życie klasztorne.

To jednak nieporozumienie. Średniowiecze inną bronią prowadziło w dalszym ciągu tę samą walkę. Średniowieczny Rzym, nędzny, ubogi, zrujnowany — promieniował na świat współczesny i przepajał swą treścią całą cywilizację tej epoki. Dzisiejsze czasy zbyt łatwo przyjęły i przyswoiły sobie legendę o chrześcijańskim „złotym wieku”, gdy ludzie byli dobrzy pobożni, gdy całe życie obracało się wokół Chrystusa i

Kościół, gdy ziemia rodziła obfity plon świętych a cuda i widome znamiona łaski Bożej spotykane były na codzień. Zrodziła się tęsknota za nowym średniowieczem, za nawrotem ku życiu, gdzie, pod pieczołowitą ochroną Kościoła — doczesność wreszcie przestanie duszy ludzkiej zagrażać.

Mocniejszy nawet protest niż naukowcy wnieśli polscy literaci przeciw tej idyllicznej i demoralizującej wizji. Świat chrześcijańskiego średniowiecza nie był niczym bardziej święty, niczym bliższy ideałowi Chrystusa niż żadna inna epoka. Było w nim tyle samo grzechu, tyle samo błędów, tyle samo prób udocześniania Królestwa Bożego, co w każdym innym okresie ludzkim. Jeśli był to okres wielkiej ekspansji chrześcijaństwa, to szła ona po normalnych liniach rozwoju ludzkości, nierzadko miecz szedł przed krzyżem, nierzadko kościół zasłaniał zbrodnię, a szata kapłańska — najcięższe grzechy. Jeśli mimo tego rozwijał się Kościół Prawdowy, to dzięki temu, że w rozsiągniętych po świecie klasztorach szukali mnisi zapamiętałe właściwej drogi Chrystusa. Lecz z odkryciami swymi nie chowali się w murach klasztornych, lecz nieśli je w świat, głosili je odważnie a realizowali tak samo brutalnie i bezwzględnie, jak brutalna i bezwzględna była epoka w której żyli.

Awentyń, wbrew sądom wielu, nie leżał gdzieś na uboczu, poza szlakiem ówczesnego życia. Nie był chronioną od zgiełku życia pustelnią. Przeciwnie, klasztor awentyński był nie tylko ośrodkiem skupionego życia religijnego i umysłowego, lecz był również osłoną Rzymu papieskiego, punktem strategicznym panującym nad drogą „Septem viis”, nad tybrzańskim szlakiem handlowym, ochroną przed ulubionym szlakiem rozbójniczych partii.

Jeśli święty Wojciech szukał przed trudem swych funkcji biskupich schronienia w murach benedyktyńskiego klasztoru — to jednak w tych samych murach znajdował nową energię, moc wewnętrzną, natchnienie dla dalszej akcji apostołowskiej. Niewidoczną nić wiązała się wzgórze awentyńskie z mazurskim jeziorem nad

brzegami którego kończył życie apostoł Prusów. Takie same niewidoczne nici wiązały między sobą wszystkie klasztory świata. Takie same nici wiązały klasztory z całym ówczesnym życiem. Dla tego też, mimo wszelkich ludzkich wypaczeń — życie Kościoła rozwijało się w twardych latach wieków średnich.

Rzym średniowiecza, który dziś nasraja nas tak łatwo na nutę sielanki by symbolem bezwzględnej walki o prymat idei Chrystusowej, realizowanej w świecie, a nie na marginesie świata i jego dążeń.

Zawsze brudny, na pół wyschnięty, wynędzniały Tyber oddziela Awentyń od widniejącej z dala śmiałością swych kształtów bazyliki św. Piotra i ponad nią górującego pałacami papieskimi — Watykanu.

W pół drogi jednak strzeże mostu przez Tyber zamek Świętego Anioła, potężny barbakan, połączony ze wzgórzem watykańskim długim obronnym murem - korytarzem. Castel Sant'Angelo jest, na drodze ku wspaniałościom Michała-Anioła, Berniniego, Rafaela, loggi watykańskich i pinakoteki, ostatnim przypomnieniem średnio-wieczna. Jest jednak także ostrzeżeniem dla wszystkich, którzy w bogactwie i przepychu renesansowych blasków chcieliby zapomnieć, że jedyna rzecz trwała — to godność Chrystusowego namiestnika. Reszta, to błaski ziemskie, dla ochrony których budowano twierdze, zbrojono żołnierzy. Potężne mury uratowały wprawdzie życie nie jednemu papieżowi, jednak nie one dawały gwarancję chrześcijaństwu. Najcięższe doświadczenie, załamanie się państwa kościelnego, pod uderzeniem nacjonalizmu włoskiego, było najmocniejszym świadectwem, że siła materialna stanowi najmniej sztywny atut w rozgrywce o chrystianizację świata.

Ani siła materialna ani nawet materialny splendor nie był jednak nigdy obcy ludzkiemu wyobrażeniu wielkości Kościoła. Ludźmi byli nie tylko ci liczni chrześcijanie, którzy złocili obrazy swych świętych, budowali wspaniałe kościoły, upiększali nabożeństwa najpiękniejszą muzyką. Ludź

mi byli też i ci wszyscy papieże, którzy chwałę Córy Królewskiej chcieli uzewnętrzniać. Przez wieki papieństwo nagromadziło najbardziej fantastyczne skarby. Wszystko, co pięknego stworzył człowiek a co ślad po sobie na ziemi zostawiło, musi mieć w skarbcach watykańskich swą, choćby najmniejszą próbkę. W muzeach zgromadzono zabytki sztuki przeszłości, by móc tym bardziej podkreślić cuda stworzone pod natchnieniem chrześcijaństwa. W Bibliotece, w archiwach Watykanu kryją się skarby myśli ludzkiej, najpełniejsze chyba i najtrwalsze doświadczenia ludzkiego działania. Ściany Watykanu pieczęcią dzieła mistrzów pędzla o światowej sławie. Kaplica Systyńska jedna warta jest wszystkich skarbów świata. Bazylika świętego Piotra swymi rozmiarami, cudami harmonii daje chyba najpełniejsze świadectwo, iż Bóg hojną ręką obdarzył człowieka zdolnością przetwarzania materii i że pracą tą może Mu służyć nie mniej niż wewnętrzną modlitwą.

Jeśli jednak każdy człowiek obdarzony przez Boga wieloma zaletami musi się strzec przed próżnością, to tymbardziej przed próżnością musi się strzec chrześcijanin, patrząc na wzgórze Watykanu. Bowiem te skarby zostały tu nagromadzone by służyć sprawie Chrystusa, by służyć ludzkości.

Balast niepotrzebnych, szkodliwych tradycji ciąży dziś bezsprzecznie na działalności i prestiżu instytucji papieskich. Przez długie wieki papieże byli jednocześnie świeckimi monarchami, rywalizującymi przepychem swych dworów nie tylko z rozlicznymi dworami włoskimi lecz i z wielkimi monarchami współczesnymi im. W dniach uroczystych wokół „sedia gestatoria” skupia się orszak olśniewający oczyma przepychem strojów i bogactwem ozdób, lecz tak jaskrawo odbijający się od współczesnych warunków życia, że być może dla wielu — bolesny. Kardynałowie w szkarłatach i najpiękniejszych koronkach, kamierierzy tajni w fioletowych jedwabiach, kamerierzy kapy i szpady w strojach z czarnego weluru z ciężkimi złotymi łańcuchami na szyi, gwardia szlachecka w złotych hełmach, gwardia szwajcarska w renesansowych



Awentyń — Generalicja zakonu Dominikanów

O R B I

strojach w kolorach Świętego Cesarstwa, gwardia palatyńska w kolorach czarnoniebieskich, z pióropuszcami na czakach, grenadierzy w napoleońskich bermycach, a tron papieski noszą wspaniali „bos solanti“ ubrani w czerwone aksamity. To bez wątpienia cudny obraz, lecz dziś, dla podtrzymywania prestiżu Stolicy Apostolskiej niepotrzebny; może utrudnić natomiast zrozumienie pozycji Kościoła tym, którzy, wyraźając z ludu, nie mają zrozumienia dla starodawnych obyczajów dworskich.

Niechże to brzmi naiwnie, lecz, mimo całego piękna kostiumów, projektowanych niegdyś jeszcze przez Michała-Ahiola, wolałbym widzieć w odrzniętych Portico di Bronzo, u wejścia do Watykanu — mnicha w szarym, brązowym czy białym habicie, niżli wspaniałego halabardnika z gwardii szwajcarskiej.

Gdyby tak się działo, gdyby mniej splendoru i mniej tytułów otaczało dziś Stolicę Apostolską — łatwiej byłoby Kościołowi reagować na niespodziewane dziejowe zakręty. A rola w skali światowej wzrasta z każdym dniem, wzrastają trudności, powstają nowe zadania, wymagające codziennej czujności, sprawności decyzji uwarunkowanej ciągłym trzymaniem ręki na pulsie historii.

Za przesłaną swoistej zupełnie atmosfery, w jakiej żyje dziś centrum światowe katolicyzmu — trudno może być zauważyć na czas niektóre ważkie w konsekwencje wydarzenia.

**

„My pracujemy w perspektywie wieków“ mawiał kardynał — sekretarz stanu Gasparri. Stąd powszechne mniemanie — Watykan ma czas.

Ileż nieporozumień wywołuje takie, słycone stwierdzenie.

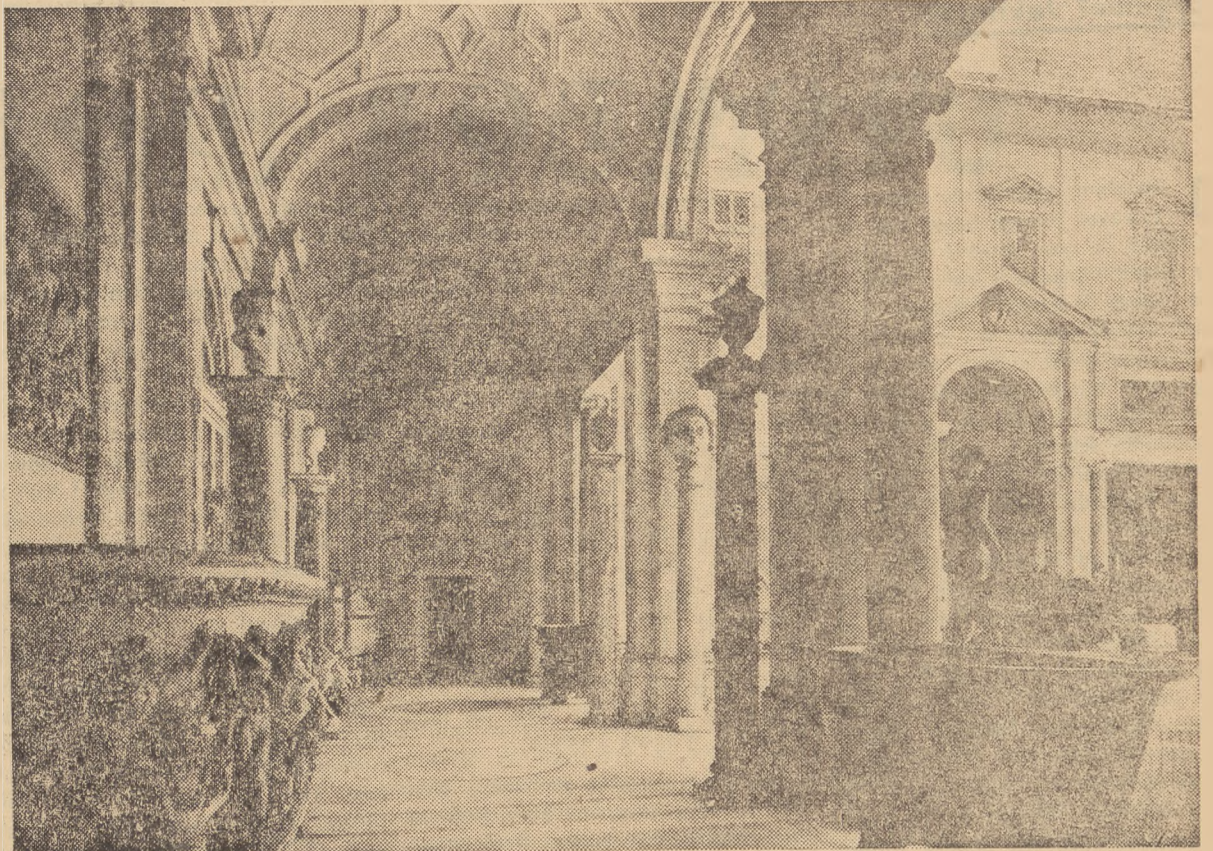
Bóg ma niewątpliwie czas nieograniczony i nieograniczoną cierpliwość wobec ludzkich małości. Kościół ma czas, w ramach ograniczonych ziemską, doczesną rzeczywistością, gdyż trwać będzie do końca wieków i stale i niezmiennie spełniać swą funkcję za sadniczą — prowadzić ludzi ku zbawieniu wiecznemu.

Być może, że dysponuje czasem watykańska dyplomacja. Ten sze roko rozbudowany aparat, będąc politycznym narzędziem kontaktu wania się Stolicy Apostolskiej z władzami świeckimi, wygrywa na swą korzyść nieograniczoną przestrzeń i nieograniczony czas realizowania się merytorycznych zadań Kościoła. Nikt jednak rozsądny nie powie przy tym, że Kościołowi rozstrzygnięcia ziemskie są obojętne. Konsekwencje schizmy wschodniej odczuwa On po dziś dzień boleśnie, a kryzys porformacki trwa na dobrą sprawę w dalszym ciągu w chwili obecnej.

Lecz Namiestnik Chrystusowy nie ma dnia, ani godziny czasu do tracenia. Pomny jest bowiem słów swego Boskiego mocodawcy, który kazał jedną zagubioną owieczkę szukać w górach, za jedną zagubioną drachmą wymiać całe mieszkanie.

Dziś na Stolicy Apostolskiej, na Ojcu Świętym ciąży ogrom odpowiedzialności za 375 milionów dusz rozsianych po całym świecie. Nie jest rzeczą obojętną dla tego ostatecznego zadania, czy uregulowanie takiej, czy innej kwestii doczesnej będzie przyśpieszone lub opóźnione o lat dziesięć, dwadzieścia, a może o sto.

Patrząc na sprawy Kościoła z naszej ciasnej perspektywy własnego podwórka, skłonni jesteśmy sądzić, iż nasze najbliższe problemy stanowią oczywistą oś zainteresowań i prac Jego instytucji na czołnych. Tymczasem, mimo tego, że katolicy europejscy stanowią sami blok około 200 milionów, a więc przeszło połowę całości, to punkt ciężkości interesów Kościoła, rzeczywistych apostolskich interesów, przenosi się wręcz przeciwnie na te tereny, gdzie katolicyzm jest do dziś najsłabiej reprezentowany. Więc nie Europa, nie Ameryka Północna, lecz właśnie Azja, Afryka, Ameryka Południowa ciążą co raz to silniej na szali Kościoła. Bowiem jest w niebie większa radość z jednego nawróconego grzesznika... i Kościół, kierowany swym wiekowym doświadczeniem wie, że jakkolwiek ważny jest stan pogłębiania się katolicyzmu w Europie, gdzie się znajduje jego kolebka — barometrem



Watykan — Krużganek podwórca „ośmiokątnego“.

wskazującym sukcesy, czy niepowodzenia misji — to rozwój apostołatu w świecie niechrześcijańskim.

Przełamując opory tradycji, przebijając się przez gąszcz tegoż balastu, który tak uderza widza efektywnych uroczystości — Stolica Apostolska od wieku próbuje konsekwentnie przekształcić swój rzymski charakter — na uniwersalny.

Każdy katolik, któremu leży na sercu sprawa unowocześnienia pojęć społecznych, jakim katolicyzm dziś operuje, winien ten proces śledzić z zapartym tchem. Nowoczesny okres uniwersalizacji Kościoła rozpoczyna się właściwie dopiero od czasów Grzegorza XVI, od roku 1845, następnie sprycyzował tę politykę Leon XIII w r. 1895, poparł ją z kolei Benedykt XV encykliką „Maximum Illud“ i Pius XI — „Rerum Ecclesiae“. Jest to dalekowzroczna polityka kościelna tworzenia w krajach misyjnych tubylczego kleru, ze świadomym celem przekazywania mu coraz to większych kompetencji w rządzeniu aparatem kościelnym.

W okresie pierwszej ekspansji misyjnej między XVI a XVIII wiekiem osiągnięto liczbę 22 milionów katolików w Afryce, Azji i Filipinach. Po wiekowym kryzy-

sie praca misyjna rozpoczyna się na nowo w drugiej połowie XIX wieku. Do roku 1905 notuje się 8.320.000 nawróconych; 10.645.000 — do roku 1918; 12.904.000 — do roku 1923; 14.330.000 — do 1927. Przed wybuchem wojny liczone katolików w krajach misyjnych na przeszło 21 milionów. Rośnie również, lecz znacznie wolniej liczba księży kolorowych. W roku 1920 liczone ich cztery tysiące, dziś mamy pięć i pół tysiąca oraz dwa i pół tysiąca zakonników. Lecz stanowią oni zaledwie jedną trzecią duszpasterskiego personelu misyjnego.

W roku 1925 Pius XI wyświęca sześciu pierwszych biskupów Chińczyków, dziś posiadamy kolorowych biskupów około siedemdziesięciu, w czym jeden kardynał. Te pobjeżnie rzucone cyfry mają za zadanie wskazać jak wielką rewolucję wewnętrzną przechodzi centralny organizm Kościoła przez sam fakt, że powoli i niespostrzeżenie kierowanie katolicyzmem przestaje być monopolem Europejczyków. Renesansowa fasada Watykanu utrudnia spostrzeżenie tego przełomowego zjawiska.

Mimo tych jednak wysiłków — odcięcie się katolicyzmu misyjnego od zaplecza kolonialnej ekspansji biały, idzie jeszcze nadal nie zwykle opornie. Sprzeciwiają się temu nie tylko administracje kolonialne, pragnące jak najdłużej móc wygrywać na swoją korzyść obecność misjonarzy, ale niestety i pewne tendencje polityczne występujące wewnątrz katolicyzmu.

Z perspektywy rzymskiej niektóre wielkie, światowe problemy ukazują się w zupełnie nowym oświetleniu. Jest faktem, że misyjna akcja Kościoła znajduje się w tej chwili w poważnym kryzysie. Jest faktem, że Stany Zjednoczone są dziś spadkobiercami całej kolonialnej polityki europejskiej i zaciętymi wrogami emancy pacji udów kolorowych. Jest faktem, że akcja misyjna nie może lekceważyć potężnego dziś ruchu wyzwolenczego narodów poddanych reżimom kolonialnych. Jest faktem wreszcie, że komunizm jest dziś jedynym wiernym sprzymierzeńcem wolnościowej walki ludów kolorowych. Akcja misyjna Kościoła ma przed sobą dwie alternatywy — stawić na Amerykanów, więc niweczyć dzieło uniwersalizacji struktury Kościoła i wrócić do koncepcji predominacji biały; lub też konsekwentnie przekształcać swą strukturę wewnętrzną, wówczas trzeba umieć

być faktycznym sprzymierzeńcem wolności ludów kolonialnych i przeciwstawić się orientacji pro-amerykańskiej.

Dziś praca misyjna pada wielokrotnie ofiarą swej dwuznacznej sytuacji. W Viet-Namie, na tle walki między ruchem wyzwolenczym a siłami okupacyjnymi doszło do zajęć tragicznych — księża miejscowi stanęli solidarnie po stronie ruchów wyzwolenczych, misjonarze, przeważnie francuscy, po stronie władzy kolonialnej. Do szło do tragicznych konfliktów, gdy duchowieństwo, podzielone na dwa bloki występowało przeciw sobie. Na dodatek, szukające gorączkowo sprzymierzeńców, władze kolonialne rozpoczęły agitację za mobilizowaniem „batalionów katolickich“ przeciw Viet-Namowi. Najostrzejsze protesty ze strony władz kościelnych nie zatarły jednak nieufności, która się wówczas zakradła w serca Viet-Namczyków w stosunku do katolicyzmu. A przecież co 10 spośród nich jest katolikiem.

W Chinach sytuacja identyczna. Załamanie się reżimu Czang-Kai-Szeka powoduje dwuznaczność sytuacji misjonarzy, którzy po tej stronie szukali nieraz oparcia.

Z szerokiej perspektywy wzgórz Watykanu widać, iż problem ten — staje się dziś powszechny. Jutro wystąpi w Indiach, pojutrze ogarnie całą Afrykę, skąd już dochodzą niepokojące meldunki.

Jest wielu księży kolorowych w Rzymie. Piękno renesansowych kształtów i tradycji nie przesłania im świadomości, że świat dziś zmienia swe oblicze i że tu właśnie, przed grobem Pierwszego Papieża, przed grobem Apostoła Narodów, trzeba podejmować wielkie decyzje — wyprowadzać katolicyzm z ciasnych zaułków, w jakich tkwi dziś tzw. orientacja zachodnio europejska. Perspektywy uniwersalizmu inne dziś rysują horyzonty, inną postawę dziś dyktują katolikom.

Być może, że właśnie kontakt z uniwersalistyczną myślą misyjną (dokończenie na str. 11-tej) Kościoła natchnął dziś postępowe skrzydło katolickie, nadał mu prężność, która nas tak uderza. W istocie wiele nowych katolickich przemysłów nawiązuje dziś całkiem wyraźnie do świadectw misyjnych.

**

Wysokie i lotne rozmiary Piotrowej bazyliki skłaniają do szukania w Rzymie perspektyw świa



Watykan — Galeria mag.

Zygmunt Jakimiak

DOKTÓR DOKTORÓW

O świętym Augustynie można, używając języka Brewiarza, powiedzieć, że „nie urodził się podobny jemu”. Świętość, czyli dostępna dla danej jednostki pełnia życia nadprzyrodzonego, w najwyższym stopniu pobudza naturę do rozwoju ożywia i wykształca doskonale indywidualność, unikając przy tym wszelkich schorzeń, spaczeń, przerostów, dysproporcji. Spod jej działania wychodzi jednostka pełna dośkonala, wykończona, wyrazista, górująca nad bliźnimi, którym była oddana, jak wieża nad miastem. Taką jednostkę każdy musi podziwiać z zachwytem, a nikt nie może jej naśladować, bo każda jest inna, ma inne własności i inne drogi rozwoju, oraz inne, własne zadania. Droga świętości jest jedyną szkołą osiągnięcia pełnej oryginalności indywidualnej. Wystarczy porównać takie jednostki, jak święty Franciszek z Assyżu, święty Szymon Słupnik, święty Filip Nereusz, święta Katarzyna Sienneńska i święta Katarzyna Genuńska, św. Jan Bosco i św. Tomasz z Akwinu, by dojść do wniosku, że każda z nich jest doskonała, ale każda na swój szczególnie sposób.

Takim jest i święty Augustyn, biskup i doktor Kościoła. Powiedział o nim papież Marcin V, że przyniósł on Kościołowi Katolickiemu tak ogromne korzyści, że żadnemu prawie świętemu nie zawdzięczamy więcej. (Kazanie na przeniesienie relikwii świętej Moniki). Święty Hieronim świadczy, że katolicy całego świata czcili go i poważali jak doktora pierwotnej wiary. (List 25 w listach św. Augustyna). A pamiętajmy, że ten święty był współczesny Augustynowi, więc już za życia miał on taką sławę. Słusznie też zauważa pewien francuski historyk Kościoła, że czasów św. Pawła i Jana Ewangelisty nikt nie wniósł tyle, co Augustyn do teologii katolickiej. Można tu dodać, że i po nim, do tej pory, nikt tyle nie dodał. Cała prawie dzisiejsza teologia jest augustyńska, choć podawana w formie tomistycznej: treść Augustyna, a forma św. Tomasza z Akwinu.

Jak bardzo obawiali się go heretycy, świadczy fakt, że Pelagiusz, wybierając się do Afryki, posłał mu czołobitny list, przez co znacznie opóźnił atak uprzejmego, choć strasznego doktora. Gdy jednak obowiązek przemógł grzeczność, biskup napisał traktat i Pelagiusz uciekł aż do Palestyny... Tam go czekał święty Hieronim, uprzedzony już i przy okazji pojednany z Augustynem. Obaj doktorzy bowiem ważni! się dotąd co do jakiegoś punktu pojmowania Pisma Świętego.

Napisanie traktatu przeciw błędowi wystarczało. Katolicy byli pouczeni i umocnieni, heretycy zaś pozbawieni logicznej podstawy swych wierzeń, tracili serca i rozpraszali się. Aż dziw bierze na myśl, że traktat o rzeczach abstrakcyjnych i trudnych miał taką olbrzymią i szeroką wpływ w czasach, które uważamy za ciemne. Należy sobie uprzytomnić, że na przełomie IV i V wieku nie było druku, wszelkie pisma krążyły tylko w odpisach, a komunikacja w ogromnym Cesarstwie była prymitywna. Jednak pisma rozchodziły się szeroko, zdobywały oddźwięk aż na krańcach ówczesnego świata. Gdy Augustyn napisał w Afryce, odpowiadała mu zaraz Gallia, Egipt, Bizancjum.

Jako pisarz jest Augustyn niezmiernie płodny. Niedawno oglądałem wydanie jego pism, jakie spo-

rzędził Migne. Szesnaście tomów in kwarto, każdy do półtora tysiąca stron drobnego druku. Vivés wydał jego opera omnia w 32 tomach. A nie są to żadne powieści czy fantazja, ale drobiazgowo, wnikliwie dociekania na tematy najbardziej trudne i niedostępne. Interesowały go tylko sprawy ważne i wstrząsające społeczeństwem. Stąd jego nieustanne polemiki z filozofami i heretykami. Trzy księgi „Przeciw Akademikom”, którzy „o wszystkim wątpili i między wszystkim pływali”, pod których wpływem sam się znajdował przez jakiś czas, napisał jeszcze jako nieochrzczony katechumen. Radością i wytchnieniem była mu prawda. Ona też stała się jego przyszłą, wieczną chwałą.

Pisma Augustyna nie mają jednak nic wspólnego ze scholastyczną suchością i chłodem. Przeciwnie, choć omawiają najtrudniejsze zagadnienia moralne i filozoficzne, są one pełne życia, barwy, świetności i dowcipu. Czytając „Państwo Boże”, odnosi się wrażenie wprost słyszenia i widzenia autora, tak jego namiętności są gwałtowne, wyrażenia dosadne, porównania realistyczne.

Dzieje się tak dzięki temu, że pisma Doktora nie są pisanymi na zmyślnymi rozważaniami. Są to raczej bruliony, powstałe bezpośrednio pod impulsem chwili. Są to improwizacje geniusza który, pochłonięty zarządaniem diecezji, nauczaniem wiernych oraz surowym i ścisłym wypełnianiem zakonnego regulaminu dzennego, dyktuje równocześnie wielu kopistom myśli, nie dające mu spokoju i domagające się zapisania. Jest to typowy, a rzadki okaz autora, który pisał z potrzeby, bez żadnego oglądania się na formę i laury. Św. Augustyn jest teologiem. Zowią go „Doktorem Łaski”, bo on to rozwinął pogląd do dziś obowiązujący, na to trudne zagadnienie. Według tego poglądu, życie nadprzyrodzone jest wynikiem współpracy między miłością Boga do człowieka i człowieka do Boga. Wspomniałem już, że prawie cała teologia dzisiejsza jest jego tworem, bo wszystko właściwie w teologii sprowadza się do nauki o łasce. Św. Augustyn jest filozofem. Wprawdzie nie stworzył uporządkowanego systemu, ale wniósł do filozofii tyle nowych rozważań, poglądów, dociekań i analiz, że można śmiało mówić o augustyńskiej filozofii, która utrzymywała się i w średniowieczu jako szkoła franciszkańska obok tomizmu i dotychczas ma zwolenników. Poglądy ks. Jakubisiaka np. mają z nią bardzo wiele wspólnego.

Św. Augustyn jest też zakonodawcą. Natychmiast po nawróceniu rozpoczął życie teocentryczne i ascetycznie uregulowane, którego nie zmienił aż do śmierci. Pobudził tym przykładem tylu innych do podobnego życia, że z czasem, obok jedynej wówczas bazylikańskiej reguły, powstała augustyńska. Napisał do kobiet, pragnących wieść życie Boga poświęcone, list, który dotąd uchodził za świadectwo reguły augustyńskiej. Z tej reguły czerpał i święty Benedykt, a Dominikanie i Franciszkanie prawie całkowicie są augustianami, obok właściwych za-

Ale nade wszystko jest św. Augustyn człowiekiem. Żaden artysta ani myśliciel nie dotarł tak głęboko w tajniki ludzkiej duszy, żaden tak szczegółowo ich nie zanalizował, nie okazał tyle zrozumienia, szacunku i miłości dla niej, co ten teolog i zakonnik. Humanizm jest u niego

systemem, sercem i podstawą poglądu na świat. Istnienie człowieka, jego cel, namiętności i dążenia stanowią jego główne zainteresowanie. Rozumowanie „ja jestem, a więc i Ty jesteś”, jest dla niego najbardziej przekonującym dowodem na istnienie Boga. Rada „kochaj i rób, co chcesz”, jest zasadniczą podstawą jego moralności. Szczęście człowieka widzi tylko w Bogu. Już na wstępie „Wyznań” pisze słynne zdanie, wielokrotnie przytaczane: „Stworzyłeś nas, Boże, dla siebie i niepokojne jest serce nasze, dopóki nie spocznie w Tobie”. Jest entuzjastą i apostołem szczęścia ludzkiego, uczonym, który drobiazgowo docieka przyczyn obecności, lub braku jego i Doktora, który daje na nie niezawodną i łatwą receptę: miłość. Jest najgłębiej i najzarliwiej ludzki, zajmuje się tylko konkretnym życiem, potrzebami jednostki i jej naturalnymi prawami do wolności i miłości tym przesiąknięta jest cała jego filozofia, teologia i działalność praktyczna i dlatego ma on tak olbrzymi wpływ na współczesność i późniejszą myśl, historię i społeczeństwo, dlatego cieszy się tak ogromnym szacunkiem, trwającym po dziś dzień.

Św. Augustyn jest najbardziej ludzki nie tylko między Doktorami, ale i między świętymi. Życie jego jest zupełnie proste i zwykłe. Jego miłość do Boga, przez którą jedynie można być świętym, choć całkowicie oddana, poświęcona, nosi na sobie bardzo ludzkie piętno. Jego „Wyznania” są jakby bardzo długim listem do niezmiernie kochanej osoby, w której z całą szczerością zwierza się ze wszystkich swych myśli, przeżyć i uczuć. Tą osobą jest Bóg, najdroższa i najbliższa istota, do której ma największe zaufanie. Przebywa jakoby po raz drugi z Nim dotychczasowe życie, starając się je zrozumieć i wyjaśnić wszystkie jego dziwne przypadki i koleje, w przekonaniu, że mają one jakiś wieczysty, głęboki sens. Tego właśnie sensu szuka i o niego pyta na każdym kroku Boga, jak małe dziecko pyta matkę o najdrobniejszy zauważony szczegół. Ten właśnie, nie retoryczny, nie patetyczny, nie służalczy, nie drwiący, ani cyniczny, ale prawdziwie dziecięcy stosunek do Boga jest najczystsza humanistyczna nuta w jego pismach, oraz podstawą najbardziej płodną w skutki. Oto retor, wykształcony na najświetniejszej neoplatonickiej filozofii, podatny na zarozumiałość i pogardę dla wszystkiego, co proste i naturalne, zaplątany w spekulacjach i abstrakcjach, jak mucha w pajęczynie, nagle uwalnia się od tego wszystkiego niby dzieciątko, któremu otworem staje Królestwo Niebieskie: Królestwo prawdy i życia, królestwo świętości i łaski, królestwo sprawiedliwości, miłości i pokoju. Tylko tym, którzy staną się podobni dzieciom, obiecał Chrystus Pan to królestwo. Jak trudna, wprost niemożliwa jest ta przemiana, możemy obserwować na współczesnych intelektualistach, uwikłanych w kabalistycznych rozrządaniach niewiele znaczących w gruncie rzeczy drobiazgow. I tu święty nasz Doktor jest znowu cudem humanizmu. Zachował całe swe wykształcenie i zamiłowania intelektualne, ba, wzmógł je do nieosiągalnych wymiarów, a jednocześnie odrzucił całą blagę, pozę i wynaturzenie, jakie zazwyczaj cechują mózgowców.

W „Wyznaniach” nasz Doktor z lekceważeniem wspomina o fakcie, że w dwudziestym roku swego życia bez żadnej pomocy zrozumiał rozprawę Arystotelesa o katego-

riach, która przypadkiem wpadła mu w ręce.

Święty Augustyn jest, można powiedzieć, czystą namiętnością. Stąd jego niesłychana siła, bo namiętność jest zapasem energii duchowej, żywiołem, który daje moc pragnieniom, pożądanom i dążnościom. Ale w tym też leży słabość geniusza, który ulega namiętnościom. A te są jak przeciwne sobie wiatry, pchające jednostkę w rozmaitych kierunkach, powodują w niej zamieszanie i niepokój, niestałość rozwoju i działania. U świętego Augustyna ta słabość jest bardzo wyraźna. Widać to z „Wyznań” gdzie na wielu stronach opisuje swą słabość i chwilejność. Szczęśliwie jednak dla siebie, poddaje się on największej i najsilniejszej namiętności, to jest miłości do Boga, a wtedy jest bezpieczny. Na nikim nie widać chyba tak wyraźnego działania łaski, jak na nim. Wstrząsający jest opis nawrócenia, gdy przekonany już do Kościoła, ale jeszcze niezdecydowany retor miota się w strasznej burzy duchowej po ogrodzie i gdy wszystko przecina i ustala na zawsze głos niewidzianego dziecka: „bierz i czytaj”. Od tej chwili Augustyn zachowuje całą siłę swych namiętności, ich czystość i dziecięcą świeżość, a zarazem ma zapewniony stały kierunek, skupienie i równowagę.

Dość często wskazuje się na św. Augustyna jako na przykład grzesznika, który użył świata przed wstąpieniem na drogę świętości. Jest w tym wiele przesady. W rzeczywistości bowiem był on od samego początku człowiekiem dobrej woli. W „Wyznaniach”, to „prawda”, podkreśla on i oplakuje swoją dawną grzeszność. Jest to jednak rzecz bardzo zwykła u świętych, którzy najdrobniejsze niedoskonałości pamiętają do śmierci i publicznie za nie żałują. Św. Teresa z Avili np., która nie popełniła żadnego ciężkiego grzechu, wciąż oplakiwała fakt, że jako dorastająca dziewczynka czytała opowieści rycerskie. Jest to po prostu wielka wrażliwość świętej duszy.

Co do Augustyna, to jego grzeszne życie przypada na czas, gdy w ogóle nie wierzył w Boga i nie znał nauki katolickiej. Nawet jednak w tym czasie nie może on sobie przypisać zbyt wielu win. Wyprawa na jabłko do cudzego ogrodu, pożycie z kobietą bez małżeństwa, to niemal wszystko. Ale tej kobiecie był wierny. Już to samo świadczy o jego niezwyklej szlachetności i prawości naturalnej. Po nawróceniu natychmiast, stanowczo i na zawsze z nią zerwał, choć go to kosztowało niezmiernie wiele. Syna, którego z niej miał, bardzo kochał i gorzko oplakiwał jego przedwczesną śmierć. A jakim umiał być przyjaciół! Posłuchajmy, jak opisuje swą boleść po jego nagłym zgonie:

„Jakimże smutkiem zaciemniło się serce moje. Na cokolwiek spojrzę, wszystko było śmiercią. I była mi ojczyzna katuszą, a dom ojca pełen dziwnej nieszczęśliwości. Cokolwiek z nim podzielałem, obracało mi się po jego zgonie w ogromną mękę. Wyglądały go zewsząd oczy moje, a nie było go. I wszystko znienawidziłem, bo go wszędzie nie było... Tylko płacz był mi słodki i zastąpił przyjaciela w radościach duszy mojej... Tak smuciłem się, wdychałem, rozdzierałem duszę. Nie znajdowałem spoczynku, ani raty”.

Nie znajduje w tym bólu żadnej pociechy w zabawach i uciechach młodości, w książkach ni w poezji, ni w Bogu nawet.

„Wiedziałem, ale ani Cię nie pragnąłem, ani cenilem tym bardziej, że nie byłeś dla mnie czyniś stałym i mocnym. Gdy bowiem o Tobie myślałem, to nie byłeś to Ty, ale próżne wyobrażenie. I błąd mój był moim Bogiem... I byłem sam sobie nieszczęsnym miejscem, w którym ani nie mogłem przebywać, ani z niego się wy dostać. Dokąd bowiem serce moje mogło uciec od mego serca? Gdzie mogłem uciec przed sobą tak, żebym za sobą nie poszedł? A jednak uciekiem z ojczyzny, mniei bowiem szukały oczy moje tam gdzie go nie nawykły widywać. Tak z Tagastu przybyłem do Kartaginy”.

Osobiście nie przypominam sobie w literaturze, jaką znam, tak przejmującego opisu bólu po stracie bliskiej osoby. Cóż tu za szczerość, świeżość, prostota, prawda i siła! Ale Doktor na tym nie poprzestaje. On wyciąga pożyteczne dla czytelnika wnioski. Nie chodzi mu bynajmniej o sukces literacki. Na tym samym miejscu zapytuje Boga: „swoją słodycz i radość”, dlaczego lzy są tak słodkie i demaskuje natchnionych nieuporządkowaną miłość, która, naturalna i dobra sama w sobie, nie umie się pogodzić z wolą Bożą i za główny swój przedmiot nie obiera sobie Jego Samego. Nieco dalej jeszcze Doktor doktorów wyraża zdziwienie, że, ludzie po stracie drogich osób za wszelką cenę starają się podtrzymać swój ból, a, gdy go już nie czują, starają się go sztucznie podtrzymać wobec świata. Potępia to stanowczo i ukazuje całą bezrozumność takiego stanowiska, stwierdzając, że przecież „jeszcze się taki nie urodził, który by nie umarł”. Ból trzeba przeboleć, lzy trzeba wyplakać, ale również trzeba się pogodzić z faktami.

I tu mamy całego świętego Augustyna. Pełna, żywiłowa, niczym nie skrępowana uczuciowość — zauważmy przepaść, jaka leży między nią, a sentymentalizmem — rozum, który wszystko zanalizuje, trafnie oceni i wyciągnie najdalej, ostatecznie wnioski i pouczenia praktyczne.

Jako filozof zaś, święty Augustyn jest wprost olśniewający. Każde zagadnienie, które weźmie pod mikroskop swej analizy, oświetli ze strony dotychczas nie oglądanej, niespodzianej, zadziwiającej. Nie sposób wyliczyć tu wszystkich objawień, bo trudno je nazwać inaczej, w dziedzinie myśli św. Augustyna można jednak powiedzieć, że są one regułą u niego, metodą myślenia.

Wszystkie jego pisma są bezcenne, zarówno ze względu na formę, jak i zawartość. Największą jednak poczytność uzyskały „Wyznania”, a to właśnie ze względu na prawdziwie ludzkie, autobiograficzne momenty, które każdego wzruszą do głębi. Każdy bowiem w św. Augustynie odnajduje siebie, swoje porwy, namiętności, upadki i wzloty. Każdy odnajduje w nim z pewnością swoje słabości. Niektórzy jednak, a jest ich niemało, znajdują w nim i jego dziecięctwie, świętość, podniesienie, pokrzepienie i drogę.

Z. Jakimiak

KAŻDY CZYTELNIK
PRENUMERATOREM
PISMA

Stanisław Kolbuszewski

RZECZNIK SZTUKI I POSTĘPU

(Denis Iwanowicz Fonwizyn)

Autor epigramatów które niemal w całości sam zniszczył, satyr, komedii, artykułów politycznych, rozpraw, opowieści, autobiografii, niez mordowany tłumacz na język rosyjski pisarzy obcych (m. in. Voltaire'a; samych bajek Holberga przetłumaczył 226), jeden z najprawocowitszych rosyjskich literatów XVIII wieku, jeden z najstaranniejszych wykształconych Rosjan epoki Oświecenia, przyjaciel wolności — jak Puszkina go nazwał, — Denis Fonwizyn pozostał w historii rosyjskiej literatury przede wszystkim autorem dwu komedii posiadających znaczenie już nie tylko jako dokument epoki, jak to było z dotychczasowymi utworami dramatycznymi, ale będących rzeczywistym dziełem sztuki; są to „Brygadiri” i „Niedorosi”.

Urodzony w r. 1745, syn drobnygo ziemianina wyniósł z domu wykształcenie bardzo staranne, pogłębiane samodzielnie rozważaniami nad czytanyimi książkami, poszerzane nauką w moskiewskim gimnazjum i uniwersytecie (którego jednak nie ukończył) i lekturą bogatą, dobrze dobrane. Do zajęcia się literaturą dramatyczną zachęciło go zetknięcie z teatrem nadwornym, poznanie komedii szermierza Oświecenia w Danii a jednego z najwybitniejszych komediopisarzy europejskich, Ludwika Holberga, oraz wejście w rosyjskie środowisko literackie. Wesoły, elegancki światowiec, obracający się w wykwinnych kręgach, urzędnik Kolegium Spraw Zagranicznych, a jednocześnie najbliższy współpracownik przywódcy arystokratycznej opozycji przeciw samowładztwu Katarzyny, ministra Panina, żywo interesujący się problematyką socjalną, Fonwizyn krytycznie patrzył na krzywdy społeczne, które się w Rosji rozwijały, na tryb życia „dworjanstwa”, na ślepe hołdownie francuskiej modzie, ludziom w głowie przewracającej, a nieraz serca pustoszącej. Wyjazd do Francji dla ratowania zdrowia nie tylko utwierdził w nim dotychczasowe przekonania, ale pchnął do negacji niektórych objawów tego, co sam dotąd cenił w kulturze Oświecenia — ten zagraniczny pobyt nastrojał na tony szydercze w odniesieniu do myślicieli racjonalizmu; — wyrazem tego stały się listy z podróży. W przyszłości pod wpływem niepowodzeń życiowych i politycznych jął się Fonwizyn skłaniać do mistycyzmu, iżby w nim znaleźć pokrzepienie czy iluzję prawdy. Narazie powrót do kraju przyniósł wspaniałe uwieńczenie literackiej kariery komedią „Niedorosi” (1782) wystawioną w po brzegi wypełnionym teatrze nadwornym. Był to i literacki i ideowy sukces pisarza-bojownika. Hasła naprawienia krzywd społecznych i przeciwdziałania im służył wiernie, pomieszczając artykuły w czasopiśmie „Uczestnik rozmów miłośników rosyjskiego słowa” (gdzie carowa swoje artykuły publikowała). Po śmierci Panina usunięty z kolegium, zaprzestął też literackiej działalności, a chwycił się redagowania pisma „Przyjaciel ludzi uczciwych czyli Starodum” (od imienia bohatera komedii „Niedorosi”, który głosił poglądy autora. W r. 1785 paraliż powalił Fonwizyna; kuracja, zagranicą prowadzona lat kilka, do roku 1792 odsunęła zgon.

Nie można mówić o jakiejś nie-

zmiennej postawie Fonwizyna wobec życia i problematyki przez nie narzuconej. Obchodziły go — jako prawe dzieło epoki oświeconej — zagadnienia socjalne i polityczne, moralne i filozoficzne, i przez czas długi w świetle wolnej myśli XVIII w. je rozpatrywał. W poglądach socjalnych i politycznych był rzecznikiem koncepcji Panina; co więcej, on właśnie nieraz ujmował je w ściśle określonej formie literackiej, a co jeszcze bardziej podkreślenia godne — myśli te przyjął za podstawę swych dążeń i żądań odłam dekabryistów. Ostro krytykował despotyczny system rządów Katarzyny, przyrównywał go do łańcuchów spinających olbrzyma: „Kolos trzymający się łańcuchami: łańcuchy rozrywają się — kolos upada i sam przez się rozbija się. Despotyzm rodzący się zazwyczaj z anarchią, tylko niemiernie rzadko nie wraca do niej”. Tak brzmiał wniosek ostateczny, wyprowadzony z przesłanek rosyjskiego życia politycznego w epoce triumfalnych rządów Katarzyny. Fonwizyn przeciwstawiał się ustrojowi społeczno-politycznemu, w którym rozstrzygająca rolę i uprzywilejowane stanowisko przynależały rodom; żądał konstytucyjnego ograniczenia ich praw; uprzytamniał, że państwo może paść ofiarą despotyzmu; uprzytamniał, że system monarchiczny jest sprzeczny z istotą sprawiedliwości; z tego powodu przeciwstawiał się także oligarchii arystokratycznej; ale — a tę refleksję wypowiedział z głębokim westchnieniem — czyż można myśleć o wprowadzeniu ustroju feudalnego w kraju pogrążonym w ciemności i opartym o niewolnictwo? W jaki sposób rozwiązać ten problem? Odpowiedzi na to Fonwizyn nie znalazł. Doprowadził myśl rosyjską XVIII wieku do uprzytomnienia sobie istniejącego stanu rzeczy, rozprawami teoretycznymi ten stan akcentował ostro, utworami literackimi ilustrował artystycznie.

Chwilami pesymizm i depresja nasuwały pisarzowi myśli najbardziej ponure. Domagało się przecież rozwiązania zagadnienie sensu życia, rozpatrywane namiętnie przez filozofię racjonalistyczną, niezależnie od wywodów religijnych. Utworem z roku 1763 pt. „Posłanie do moich sług” zajął Fonwizyn stanowisko krańcowo pesymistyczne: służba folwarczna, której rzecznikiem stał się tu autor, wyjaśnia, że po prostu o tych rzeczach nie myślała, ale jest przeświadczona, że na świecie muszą być zawsze dwie kategorie ludzi: — szczęśliwych i nieszczęśliwych tj. panowie i słudzy; że świat jest polem do wzajemnego wyzysku, a każdy cel życia uważa zaspokojenie własnych egoistycznych potrzeb; że ostatecznie niewiadomo „na co stworzony jest ten świat”. Utwór artystycznie dobry, dający wcale wyraźnie zarysowane obrazyki z życia i dający próbę indywidualności języka chłopów, przeraża beznajdziejnością tonu i końcowego wydzwięku. Stwierdzeniem, że niewiadomo na co jest męka ludzka i niesprawiedliwość życia, tym stwierdzeniem zatriumfował w literaturze rosyjskiej osiemnastowieczny sceptycyzm.

Fonwizyn napisał także inne rzeczy chociaż drobne, ale artystycznie niezłe, dające realistycz-

ne obrazki, niekiedy przesycone akcentami ironii, niekiedy pokazane z humorem: jednakże pozycję w literaturze rosyjskiej XVIII wieku zapewniły mu — jak się rzekło — dwa utwory dramatyczne, w których na scenie pokazali się ludzie, a nie — jak to było w pierw — opatrzone etykietami manekiny lub karykatury. Ludzie owi — rzecz to oczywista — byli pojęci zgodnie z postulatami poetyki klasycznej jako typy, ale byli oni pokazani w sposób żywy, plastyczny, prawdziwy. Autor umiał zindywidualizować ich język, umiał każdą postać odciąć od innych postaci, zarysować jej fizjognomię moralną i intelektualną. To stanowiło wielką zdobycz rosyjskiej sceny. A dalej, bohaterowie ci przesuwały się na tle obrazu życia społecznego Rosji XVIII w.: zarówno oni byli tak przedstawieni, iż nie było wątpliwości, że są to Rosjanie XVIII wieku, jak też warunki życia, w których przebywali, mogły odnosić się wyłącznie do Rosji ówczesnej. Występował tu dla owej epoki typowy świat urzędniczy i wojskowy, ziemiański i chłopsko pańszczyźniany, występowały ówczesne kobiety i mężczyźni, wywołana była typowa dla starej Rosji atmosfera domu i dworu, przedstawiony typowy ówczesny stosunek wzajemny różnych klas socjalnych. Fonwizyn wydobyl rysy zarówno ogólne, charakterystyczne dla starej Rosji, żyjącej w XVIII wieku w dalszym ciągu duchem „domostrojowym” i literą praw domostrojowych, jak też rysy nowe, odcinające się ostro od pseudo-patriarchalnego tła wiejskiego, odcinające się od tego tła w sposób irytujący, — mianowicie zjawisko gallowanii, która wtedy uwiódła Rosję tak samo, jak uwiódła Polskę osiemnastowieczną. Komedia zatem dawała portrety ludzi owej epoki i dawała obraz jej życia. Ludzie wyrastali z tego życia; kształtowały ich i urabiały ich fizjognomie jego warunki socjalne (nierówność społeczna), jego warunki kulturalne (brak wykształcenia, analfabetyzm ziemianstwa a jednocześnie import pseudo-kultury z zagranicy) jego warunki ekonomiczne (nędza ucisnionego chłopca pańszczyźnianego; trwonienie pieniędzy przez posiadających i kradzież grosza publicznego, aby ratować się; luksus i bieda). — W ten sposób po raz pierwszy na scenie rosyjskiej pojawiły się typy prawdziwie rosyjskie, powiązane ściśle z życiem socjalno-kulturalnym.

Budowa obu komedii, „Brygadiri” (1766) i „Niedorosi” (1782), nie była jeszcze doskonała; brak im żywej akcji; intryga i schemat „Brygadiri” pochodziły od Holberga; wiązały się w nich niezbyt harmonijnie relikta klasycyzmu (podział na 5 aktów, trzy jednosceny, sposób pokazania bohaterów jako typów, dydaktyzm itp.) z nowymi tendencjami komedii końca XVIII wieku (pisane prozą, realizm ujęcia, akcenty socjalne, zwiastuny sentymentalizmu itp.). Całość zasadzała się na rozmowach, które stanowiły czynnik główny dla pokazania psychologii bohaterów. Ale były to rozmowy poprowadzone świetnie, żywo, dowcipnie. Każdy tu mówił swoim językiem, każdy pokazywał swoją fizjognomię rzeczywistą. Wyśmienite też były niektóre sytuacje jak np. scena, w której pod-

starzały birbant, sowietnik uwodzi wersetami psalmów pocziwają i pobożną żonę brygadiera; czy zgola odmienna w nastroju, o isticie tragicznym zabarwieniu scena odepchnięcia przez syna zwyrodnialca matki, która go ubóstwia i która dla niego przed zbrodnią by się nie cofnęła. Przyswiecał komediom cel wybitnie dydaktyczny — „Brygadiri” miał być przestroga przed skutkami głupiego i złego wychowania, przed szkodliwymi skutkami gallowanii, przed destruktcyjnymi następstwami istniejącego układu społecznego; „Niedorosi” przedstawiał skutki opacznie pojętego wychowania dzieci i młodzieży, socjalną głupotę i nędzę moralną ziemianstwa, tragizm krzywdy socjalnej, gdy poddanych traktuje się gorzej bydła. Przewijał się w obu komediach barwny korowód ludzi o różnych fizjognomiach, różnym trybie życia, różnej mentalności i moralności. W komedii „Brygadiri” pokazano się na scenie pięć bardzo wyraźnie nakreślonych postaci: nieinteligentny a życiem zawodowym ogłupiony brygadier, kategorię wojskowego myślenia stosujący do wszelkich zagadnień życia, nawet religijnego (Pan Bóg wedle „czyni” tj. rang klasyfikuje ludzi), niezły ale furiant i despota; jego żona, beznadziejnie głupia, gadatliwa, śmieszna, a przy tym dobrodusza, pocziwa i pobożna typową dla nieinteligentnych ludzi powierzchowną formalistyczną pobożnością, męża bojąca się jak diabła, a ubóstwiająca syna i światą poza nim niewidząca — kreacja doskonała jedna z najlepszych w dawniejszej literaturze rosyjskiej; jako kontrast dla tej pary stworzone małżeństwo inne — sowietnik i jego żona: on, zdemoralizowany do gruntu (do czego walczył państwo walczy się przy czyni), tak zakłamanym, że paragrafami prawa osłaniał świadomie popełniane nadużycia, — paragrafową była także jego pobożność: nabożeństwa nie opuścił, ale chętnie uwiódłby żonę przyjacielowi, bo przecie... grzeszy się po to, ażeby mieć okazję do pokuty! Żona jego to jedna z typowych w literaturze europejskiej owej czasu entuzjastek francuszczyzny. Zakochana w romansach francuskich i na nich romanse swe go życia stylizować próbująca, ze wzdrganiem na wszystko, co niefrancuskie patrząca, głównie na rodzimą rubasznosc, głupia głupotą prentjonalną, a przez to różną od głupoty brygadierowej. A wreszcie Iwanuszka, syn brygadierostwa, fircyk niedorozwinięty, ogłupiany wychowaniem domowym, a kilkutygodniowym pobylem w Paryżu całkowicie wywichnięty, pustak, bez zasad, bez pojęcia o życiu, o obowiązkach, nie wahaający się ojca na pojedynku wyzwać, a do jego kochanki się zalecać, kreatura marna ale kreacja artystyczna doskonała, godna miejsca obok matki.

W „Niedorosi” (wyrastek to, który nie dorósł jeszcze do lat przepisanych dla objęcia służby państwowej) centralne miejsce zajmuje matka rodu Prostakowych, ziemianka-analfabeta, bez ogłady, bez zasad, bez mózgu i bez serca, despotka, nad poddanymi się znęcająca, zdecydowana na wszystko, niezająca skrupułów etycznych, zbiorowisko najgorszych przywar człowieczych i kobiecych, ale ubóstwiająca synacz-

karozpustnika, naiwną a głęboką, namiętną a zazdrosną miłością, która rażyciu jej cel wyznacza i sensu przydaje. Jej syn, Mitrofanuszka, wspólne ma wszystkie rysy z Iwanuszką i wiele innych własnych: leniuch, głupiec, zarozumialec, egoista, lubieżnik i obzarciuch, impertynent i satrapa, typowy przedstawiciel złotej młodzieży, chłopak bez skrupułów, bez podstaw etycznych — wytwór specyficznych warunków rozwinętego życia ruskiego ziemianstwa. — A trzeci okaz to brat Prostakowej, Skotynin (tzn. Bydlacki), nieokrzesany, brutalny, bez skrupułów jak cała rodzinka, niegodziwiec dla chłopów jak siostra. Tak pokazał Fonwizyn oblicze ziemianstwa rosyjskiego i nad tą klasą wydał wyrok potępiający. Ideał swój stworzył w Starodumie tj. myślącym po staremu, przeciwstawiającym zgniliznie współczesnej, złoty wiek Piotra I i słowami jego żądał służby dla ojczyzny, podniesienia oświaty, bo ona — jak w to najgłębiej wierzyła epoka — jest dźwignią etycznej. Był rzecznikiem poety także Prawdyn, domagający się ograniczenia władzy pana nad chłopem i opieki prawa nad wsią, bezprawiem pańskim maltretowanej. Myśl o konieczności reformy socjalnej rozwinęła tutaj skrzydła do lotu.

Obie komedie były dziełem sztuki i w tym ich znaczenie w historii raskiej sztuki rosyjskiej. Obie komedie były dziełem politycznym i w tym ich znaczenie w historii rewolucyjnej myśli rosyjskiej. Głosiły tezy i tezy te ilustrowały artystycznie. Godziły w carski, despotyczny system państwowy, pokazywały czym jest warstwa „dworjanstwa”, przez ustrój fortywanego. Uprzytamniały, że gmach, który na takich zgniłych filarach się opiera, musi wraz z nimi runąć. Realizując rzecz o poziomie artystycznym wysokim, pokazując nim rzeczywistość życia współczesnego, Fonwizyn kładł podwaliny pod życie dnia jutrzejszego. Przygotowywał przyszłość.

Stanisław Kolbuszewski

Sp. wyd. „Pax”, Inst. Wyd. wysyła

G. BERNANOS
POD SŁOŃCEM
SZATAŃA

cena 950 zł

B. MARSHALL
CHWAŁA CORY
KRÓLEWSKIEJ

cena 750 zł

TEKĘ DRZEWORYTÓW
„OJCZE NASZ”
K. WRÓBLEWSKIEJ

cena 1200 zł

Po wpłacie na KONTO PKO

I-8515

SP. WYD. „PAX” INST. WYD.

Tłum. z arabskiego Natalia Rykaczewska

ZEFA CIEŚLI

tych aniołów. Niech ze mną zosta- nie, żeby nędzna dusza moja wy- szła z tego udręczonego ciała bez trudności, strachu i udręki. Albo- wiem strach ogromny i smutek do tkliwy obejmuje wszystkie ciała w dniu ich śmierci. Czy to mąż, czy niewiasta, czy zwierzę, czy dzika bestia, czy robak, czy ptak, czy pospołu wszystkie stworze- nia, które są pod niebiosami, ma- jące w sobie ducha żywotnego, strachem są objęte, wielką zgro- żą i bólem ogromnym, gdy dusze odchodzą z ich ciał. Teraz więc, o Panie i Boże mój, pozostaw Twe go świętego anioła z duszą i cia- łem moim, dopóki nie rozłączą się ze sobą. I oblicze anioła wyznaczo- nego mi na straż od dnia mego stworzenia niech nie będzie ode- ranie odwrócone, ale niech towa- rzyszy mi w drodze, aż mnie do- prowadzi do Ciebie. I niechaj twarz jego będzie mi przyjemna i radosna i niechaj towarzyszy mi w pokoju. Nie pozwalaj, aby to- warzysze o straszliwym wyglądzie przystępowali do mnie w drodze do miejsca, do którego będę szedł, aż w pokoju do Ciebie przybędę. I nie pozwól, żeby odźwierni bro- nili duszy mojej wstępu. I nie wy- stawiaj mnie na hańbę wobec strasznego trybunału Twego. I nie wypuszczaj na mnie lwów. I niech duszy mojej nie zatopią fale mo- rza ognistego, przez które każda dusza przejść musi, zanim zobaczy chwałę Twego Bóstwa. O Bo- że, sędziو najsprawiedliwszy, któ- ry będziesz sądził sprawiedliwość i słusność śmiertelników i odpła- cisz każdemu według uczynków jego. A teraz o Panie i Boże mój, otocz mnie Twym miłosierdziem i oświetl drogę mą do Ciebie. Tyś jest źródłem obfitującym we wszelkie dobra i chwałę, na wie- ki. Amen“.

14.

Zdarzyło się potem, że wrócił do domu swego w mieście Naza- ret i objęty chorobą, leżał w łożu. Zaś tym razem nastąpił jego zgon, jak przeznaczone jest wszystkim ludziom, Ciężko na tę przypadłość cierpiał i nie chorował tak, jak tym razem, od dnia swego naro- dzenia na świat. A to postanowie- nie zarządził Chrystus dla Józefa sprawiedliwego w czterdziestym roku, zanim Józef się ożenił. Mał- żonka pozostawała pod jego opie- ką czterdzieści dziewięć lat i u- marła. W rok zaś po jej śmierci została powierzona mu przez ka- płanów matka moja czysta, Maria, aby ją strzegł aż do czasu ślubu. Przez dwa lata pozostawała ona w domu jego. W trzecim roku Jej pobytu u Józefa, a w piętnastym roku Jej życia, porodziła mnie na ziemi w sposób tajemny, którego nie może pojąć ani przeniknąć żadne stworzenie, oprócz mnie, Ojca mego i Ducha Świętego, two- rzących ze mną jedną istotę.

15.

Całe zaś życie ojca mego, spra- wiedliwego starca, trwało sto je- denaście lat, według rozkazu Oj- ca mego. Zaś dzień, w którym du- sza jego odłączyła się od ciała, był dwudziestym szóstym dniem miesiąca Abib. Poczęło już bo- wiem wyborne złoto tracić blask, a doskonale srebro ścierać się (mówię tu o umyśle i o wiedzy jego). Zapomniał także o jedzeniu i o picu i zatracił wiedzę sztuki ciesielskiej i nie zajmował się nią

więcej. Skoro zaś nastał brzask dwudziestego szóstego dnia Abib, zatrwożyła się dusza starca, spra- wiedliwego Józefa, w łożu swoim. Rozwarł usta swoje, technienia wy- dając, i ręce swoje złożył razem. I donośnym głosem zawołał, mów- iąc w ten sposób:

16.

„Biada dniowi, w którym się narodziłem na świat, biada łożu, które mnie nosiło, biada wnętr- nościom, które mnie przygarnęły, biada piersiom, które mnie kar- miły, biada nogom, na których spoczywałem, biada rękóm, które nosiły i wychowywały mnie, do- pókim nie dorósł. Bowiem w nie- prawości poczęto mnie i w grze- chach pragnęła mnie matka moja. Biada językowi i wargom moim, które mówiły i głosiły rzeczy próz- ne, oszczerstwo, kłamstwo, głupo- tę, pośmiewisko, oszustwo, pod- stęp i obłudę. Biada oczom moim, które patrzyły na zgorzenie, bia- da uszom moim, które cieszyły się słuchaniem oszczerstw. Biada rękóm moim, które porywały rzeczy do nich prawnie nie należące. Biada brzuchowi memu i wnętr- nościom moim, które pragnęły po- karmu zakazanego im do spoży- cia. Biada gardłu memu, które na podobieństwo ognia pożerało wszystko, co napotkało. Biada no- gom moim, które częstokroć chodziły drogami Boga niemiły- mi, Biada ciału i biada smutnej duszy mej, od Boga, Stwórcy swe- go, odwróconej. Cóż uczynię, gdy dojdę do miejsca tego, gdzie mam stanąć wobec najsprawiedliwsze- go sędziego, a On mnie zgani za uczynki moje, które zgromadziłem w młodości swojej? Biada wsze- kiemu człowiekowi, umierające- mu w grzechach swoich. Zaiste, straszna to godzina, która zdarzy- ła się ojcemu memu Jakubowi, gdy dusza jego odłączyła się od ciała. Oto już ona wisi nade mną. O jak że ja jestem dzisiaj godny pożalo- wania! Sam Bóg jest Panem du- szy mojej i ciała mego. On z nimi postąpi wedle woli swojej“.

17.

To właśnie Józef, starzec poboż- ny, powiedział. Ja zaś poszedłem i przyszedłszy do niego, znalazłem duszę jego bardzo wzruszoną, był bowiem w wielkim ucisku pogrą- żony. Rzekłem: Witaj, mój ojciec Józefie, mężu sprawiedliwy, jak- że ci się wiedzie? Odpowiedział mi: Wielokroć witaj mi, synku mój kochany. Albowiem boleść śmierci i strach przed nią już mnie otoczyły. Lecz odpoczęła du- sza moja, gdy usłyszałem Twój głos. O Jezu Nazareński, Jezu, Zbawicielu mój, Wybawco duszy mej, Jezu Powierniku mój, Jezu, najśodsze Imię w ustach moich i w ustach wszystkich, którzy je ko- chają. Oko, które widzisz, ucho, które słyszysz, wysłuchaj mnie. Ja, sługa Twój, dzisiaj uciekam się do Ciebie i wobec Ciebie wylewam łzy moje. Tyś jest zaprawdę Bogiem moim, Tyś jest Panem mo- im, jak mi wielokrotnie mówił anioł. A zwłaszcza zaś tego dnia, w którym serce moje wahało się pod wpływem przewrotnych my- śli w stosunku do czystej i błogo- sławionej Marii, ciężarnej, którą potajemnie myślałem odesłać. Gdym zaś tak myślał, oto zjawili mi się aniołowie Pana we śnie, w dziwnej tajemnicy mówiący mi: „Józefie, synu Dawida, nie bój się

przyjąć Marii, oblubienicy two- jej. Nie będziesz się smucił i nie będziesz mówił słów nieszlachet- nych o jej poczęciu, ponieważ brzemienna jest z Ducha Święte- go i urodzi syna, którego imię bę- dzie Jezus. On bowiem zbawi naród swój od grzechów ich“. Nie miej do mnie urazy z powodu te- go, o Panie, albowiem nie znalazłem tajemnicy narodzenia Twego. Przy- pominam także sobie. Panie mój ten dzień, w którym od ukąszenia węża pewien chłopiec umarł. Chcieli zaś krewni jego oddać Cię Herodowi, mówiąc, że to Ty go za- biłeś. Lecz wskrzesiłeś im go z martwych. Wtedy ja przystąpiłem i biorąc Cię za rękę rzekłem ci: „Synu mój, strzeż się“. A ty mi odpowiedziałeś: „Czy ty nie jesteś ojcem moim wedle ciała? Objawię ci, kim ja jestem“. Teraz więc, o Panie i Boże mój, nie gniewaj się na mnie z powodu tej godziny i nie potępiaj mnie. Jestem sługa Twój i syn służebnicy Twojej. Ty zaś jesteś Panem, Bogiem i Zbaw- cą moim, synem Boga zaiste“.

18.

Gdy to powiedział mój ojciec Józef, już więcej płakać nie mógł. I zauważyłem, że śmierć już nad nim panuje. Zaś matka moja, Dziewica czysta, wstając i przy- stępując do mnie, rzekła: „O synu mój ukochany, już umiera ten po- bożny starzec Józef“. Odpowiedzia- łem: „O matko moja najukochań- sza, niewątpliwie wszystkie stwo- rzenia, które rodzą się na tym



Ucieczka do Egiptu (miniatura ze starożytnego manuskryptu)

świecie, muszą umrzeć. Śmierci bowiem podlega cały rodzaj ludz- ki. Ciebie także, Dziewico, matko moja, spotka śmierć, tak jak in- nych śmiertelników. Jednak śmierć Twoja, jak i śmierć tego pobożnego starca, śmiercią nie jest, lecz życiem ciągłym na wie- ki. Bowiem potrzeba, żebym tak- że umarł co do ciała, które od Cie- bie otrzymałem. Lecz powstań, matko moja czysta, idź i pójdz do błogosławionego starca Józefa, a- żebys zobaczyła, co stanie się, gdy będzie wstępował (do nieba).

19.

Poszła więc Maria, matka moja czysta i przybyła do miejsca, gdzie był Józef. A przy stopach jego siedziałem, spoglądając na niego. Znaki zaś śmierci już się pojawiły na jego twarzy. Starzec bło- goszawiony, podniósłszy głowę ku mnie, wpatrywał się w twarz mo- ją. Nie miał jednak siły do mnie przemówić z powodu boleści śmie- ci, która nim już oświadczyła, tylko wydawał wiele wzdychań. Ja zaś rękę jego przez przeciąg całej jed- nej godziny trzymałem. Spogląda

jąc na mnie, wskazywał, bym go nie opuszczał. Położywszy na jego sercu rękę moją, zauważyłem, że dusza jego jest już blisko gardła, mając zamiar oddzielić się od cia- ła jego.

20.

Gdy zaś spostrzegła mnie matka moja, Dziewica dotykającego cia- ła jego, ona też dotknęła nóg jego. I spostrzegając, że są już one obu- marłe i pozabawione ciepła, powie- działa mi: „O synu mój ukocha- ny, zaiste zaczynają stopy jego już ziębnąć i upodabniają się do lo- du“. Zwoławszy zaś synów i cór- ki jego, rzekła im: „Przyjdźcie wy wszyscy i przystąpcie do ojca- waszego, bowiem nadeszła już je- go godzina“. Odpowiedziała Assia, córka jego, mówiąc: „Biada mi, o bracia moi, to jest bowiem ta sa- ma choroba, co matki mojej uko- chanej“. I rozpaczła płacząc, i wszystkie dzieci jego płakały. Ja także i Maria, matka moja, razem z nimi płakaliśmy.

21.

Lecz obróciwszy oczy ku stronie południowej, zobaczyłem zbliżają- cą się już śmierć, a z nią Gehennę otoczoną wojskiem swoim i służeb- nikami. A odzienie, twarze i usta ich zionęły ogniem. Gdy to ojciec mój, Józef, zobaczył, że zbliża się wprost do niego, oczy jego zalały się łzami i w onej chwili wydał wiele jęków. Widząc gwałtowność jego westchnień, odpędziłem śmierć i wszystkie sługi, które jej towarzyszyły. I zawołałem do Ojca mego dobrego mówiąc:

22.

„O Ojciec wszelkiej łaskawości, oko, które widzisz, ucho, które sły

szysz. Wystuchaj pokornej prośby i modlitwy mojej za starca Józe- fa. I wyślij Michała, księcia Two- ich aniołów, i Gabriela, zwiastuna światła i wszelkie światło Twoich Aniołów. A orszak ich niech idzie z duszą ojca mego, Józefa, dopóki nie doprowadzą jej do Ciebie. To jest godzina, w której ojciec mój, Józef potrzebuje miłosierdzia. Ja zaś mówię wam, że wszyscy świę- ci i wszyscy śmiertelnicy, którzy rodzą się na świat, czy są sprawie- dliwi, czy grzeszni, muszą koniec- nie zakosztować śmierci.

23.

Przyszedł więc Michał i Gabriel do duszy ojca mego, Józefa, i przy- jawszy owinęli ją w świetlaną za- słonę. Tak poruczył ducha w ręce Ojca mego dobrego, a On udzielił mu pokoju. Nikt zaś z dzieci jego nie wiedział, że on umarł. A anio- łowie strzegli duszy jego od demo- nów ciemności, które były w dro- dze. I wielbił aniołowie Boga aż do chwili, gdy doprowadzili duszę jego do siedziby pobożnych.

24.

Ciało zaś jego pozostawało roz- ciągnięte i wyschłe. Położywszy rękę na oczach jego, zwarłem je i zamknąłem usta. I powiedziałem do Marii, Dziewicy: „O matko moja, gdzie jest sztuka jego, któ- rą zajmował się na tym świecie przez cały ten czas. Oto zniknęła już ona, jak gdyby nigdy nie ist- niała“. Gdy usłyszały dzieci jego, jak rozmawiam z matką moją, Dziewicą czystą, — poznały, że on już umarł i rozpaczaly płacząc. Powiedziałem im: „Zaiste śmierć ojca waszego nie jest śmiercią, lecz życiem wiecznym. Albowiem uwolniony z trosk tego świata przeszedł do spoczynku wieczne- go, trwającego na wieki“. Gdy usłyszały to dzieci jego, rozdarły swe szaty i zapiakały.

25.

Zaś mieszkańcy Nazaretu i Ga- lilei, usłyszawszy ich płacz, przy- biegli do nich. I płakali od godzi- ny trzeciej do dziewiątej. O godzi- nie zaś dziewiątej poszli wszyscy do mieszkania Józefa. I podnieśli ciało jego, namiętnie je przed- tem wonnymi olejkami. Ja za pro- siłem Ojca mego modlitwą nie- bian, to jest tą, którą napisałem ręką moją, zanim byłem noszony w łonie Marii Dziewicy, matki mo- jej. Gdy zaś skończyłem i powie- działem „Amen“, wielka liczba a- niołów przystąpiła. Dwum z nich poleciłem, ażeby rozłożyli szatę świetlaną i owinęli nią ciało bło- goszawionego starca Józefa.

26.

I rzekłem mu: „Nie będzie pa- nował nad tobą zapach śmierci albo smród, ani nie wyjdzie nigdy robak z twojego ciała. I nie będzie zlamany z niego żaden członek i nie zmienią się żaden włos na jego głowie. I nic nie zginie z twojego ciała, o mój ojciec Józefie, lecz zo- stanie nienaruszone i zdrowe aż do uczyty tysiącletniej. Każdego zaś człowieka, który będzie pamię- tał o ofierze w dzień pamiętki twojej, pobłogosławię i oddam mu nagrodę w świątyni dziewic. Kto nakarmi nieszczęśliwych i bied- nych, wdowy i sieroty z pracy rąk swoich, w dniu święta twego, w imię twoje, nie będzie pozba- wiony dóbr przez wszystkie dni swego życia. Ktokolwiek także da naczynie wody lub wina do picia wdowie lub sierocie w imię two- je, oddam go tobie, żebys wszedł z nim na ucztę tysiącletnią. Wszel- kiego człowieka, który będzie pa- miętał o ofierze w dniu pamiętki twojej, będę błogosławił i dam mu nagrodę w przybytku dziewic. Od- dam mu za jeden grosz — trzy- dzieści, sześćdziesiąt i sto. I kto- kolwiek opise historię twego ży- cia, pracy twojej i zejście z tego świata i mowę wygłoszoną ustami moimi, poruczę go twojej pieczy, gdy będzie na tym świecie. Gdy zaś wyjdzie dusza jego z ciała i od- łączy się od tego świata, spalę księgę jego przewinień i nie będę go dręczył karą w dniu sądu. I przejdzie przez morze ognia, bez trudu i bólu je przekroczy. Oto, co obowiązuje każdego biednego czło- wieka, który nie może nic dać z tego, o czym wspominałem. Jeżeli urodzi mu się syn i nazwie imię jego Józef, — to nie będzie w tym domu ani nędzy, ani nagłej śmier- ci na wieki“.

27.

Potem zesłali się dostojnicy mia- sta na miejsce, w którym znajdo- wało się ciało starca, błogosławio- nego, Józefa. I przynieśli z sobą

całuny i chcieli go owinąć, jak zwykli czynić Judejczycy. Lecz za uważali, że on ma swoje okrycie, które tak przylgnęło do jego ciała, że gdy chcieli je zwlec, znaleźli je jak żelazo nieruchome i nierozdzielne. Nie znaleźli w całunie żadnego końca i dziwili się z powodu tego niezmiernie. Potem wnieśli go do jaskini i otworzyli wrota, żeby złożyć ciało między ciałem ojca jego. Wtedy wspomniałem dzień, w którym ze mną szedł do Egiptu, i ten trud ogromny, który znosił dla mnie. Opiakiwałem go więc przez długi czas i pochylając się nad jego ciałem. powiedziałem:

28.

„O śmierci, która czynisz wszelką wiedzę cczą i wzbudzasz wiele łez i jęków. Jednakże Bóg, ojciec mój, On jest tym, który dał tobie tę władzę. Z powodu przewroczenia Adama i żony jego Ewy umierają ludzie i śmierć nikogo nie ominie. Nikomu zaś nie zdarzyło się ani nie stało się nic bez rozkazu Ojca mego. Zaiste żyli ludzie na tym świecie do dziewięćset lat i umarli. Wielu z nich dłużej jeszcze żyło i także umarli. I żaden z nich nie powiedział: „Ja nie zakosztowałem śmierci”. Bo wiem Pan nigdy nie zsyła tej własnie kary, jak tylko jeden raz w w tej godzinie zlecił ją Ojciec mój zesłać na człowieka i w tej chwili, kiedy śmierć wyrusza ku człowiekowi, spostrzega ona polecenie idące ku niej z nieba i mówi: „Wy wołam przeciwko niemu poruszenie” — i obejmuje duszę jego niezwłocznie postępując z nią wedle swej woli. Dlatego, że Adam nie uczynił woli Ojca mego, lecz przekroczył jego przykazanie, rozgniewał się na niego Ojciec mój i zasądził mu śmierć — i śmierć weszła do świata. Gdyby Adam zachował przykazanie Ojca mego, nigdy by śmierci nie zaznał. Czy nie uważacie, że mogę prosić mego dobrego Ojca, żeby mi zesłał wóz ognisty, który zabrałby ciało ojca mego Józefa i przeniósł je do miejsca spoczynku, aby zamieszkał z duchowymi istotami? Lecz z powodu przemienienia Adama zstąpiła ta klęska i gwałtowność śmierci na cały rodzaj ludzki. Z tego też powodu potrzeba, bym umarł wedle ciała dla ludzi, których stworzyłem, ażeby dostąpili łaski”.

29.

Powiedziawszy to, objąłem ciało mego ojca, Józefa, i zapłakałem nad nim. Otworzyli wrota grobu i położyli w nim ciało jego, przy ciele ojca jego, Jakuba. Gdy umarł, dopełniło mu się sto jedenaste lat. I nigdy nie zabrał go żaden zęb w jego ustach, i spojrzenie jego nie zostało stepione, ani nie pochylała się postawa, ani siły nie zmniejszyły się. Lecz zajmowałem się ciesielsstwem aż do dnia swej śmierci, a dniem tym był dwudziesty szósty Abib”.

30.

My zaś, apostołowie, gdy usłyszeliśmy to od Zbawcy naszego, ucieszyliśmy się i powstaliśmy, cześć Mu oddając, i rzekliśmy: „O Zbawicielu nasz, okazał nam swoją łaskę. Oto bowiem usłyszeliśmy słowo żywota. Podziwiamy jed-

nak, Zbawco nasz, losy Enocha i Eliasza, bowiem nie byli oni poddani śmierci. Lecz siedzibę wybranych zamieszkują aż do dnia dzisiejszego i ciała ich nie doznały zepsucia. A starzec ów, Józef cięśła, był jednak ojcem twoim wedle ciała. Rozkazałeś nam, byśmy idąc na cały świat głosili świętą Ewangelię. I powiedziałeś: „Oznaj miacie im śmierć ojca mego Józefa i każdego roku obchodźcie uroczysty dzień jego święta. Ktokolwiek zaś umniejszylby coś z tej mowy, czy też coś dodał do niej, ten popełni winę”. Podziwiamy od tego dnia, w którym urodziłeś się w Betlejem, że Józef nazywał Ciebie synem swoim wedle ciała. Dla czego więc jego, tak samo jak tamtych, nie uczyniłeś nieśmiertelnym? A przecież nazywasz go sprawiedliwym i wybranym”.

31.

Odpowiedział zaś Zbawca nasz i rzekł: „Zaiste, prorocstwo Ojca mego wypełniło się na Adamie z powodu nieposłuszeństwa jego. A woła mego Ojca spełnia się we wszystkich rzeczach, których tylko zapragnie. Jeśli człowiek nie przestrzega nakazu Bożego i idzie za uczynkami szatana, popełniając grzech, — przedłuża się życie jego. Albowiem pozostawia się go z uwagi na to, że może zacznie pokutować i zda sobie sprawę, że musi być oddany w ręce śmierci. Także życie człowieka, który był oddany dobrym uczynkom, przedłuża się, aby wiadomości o jego starości służyły do naśladowania go przez ludzi szlachetnych. Gdy zaś zobaczycie człowieka, którego dusza jest udrecona, zaiste dni jego są skrócone. Ci są bowiem za bierani w kwiecie swego wieku.

Wszelkie bowiem prorocstwo mego Ojca, które wyrzekł o synach ludzkich, w każdej mierze wino się spełniać. Jeśli chodzi o Enocha i Eliasza, jakże oni pozostali żywi, zachowując do dzisiaj te same ciała, w których się urodzili, zaś ojcu memu Józefowi, nie przypadło tak jak im, przebywać w ciele swoim. Zaiste, człowiek, chociażby żył na tym świecie dzieśiątki tysięcy lat, to jednak będzie musiał umrzeć. I mówię wam, o bracia moi, że oni przyjdą na świat pod koniec czasów, w dniu niepokoju i strachu, ucisku i udreczenia, i zakończą życie. Bo wiem Antychryst zabije cztery ciała i krew ich wyleje, jak naczynie wody, z powodu zniewagi, którą mu zgotują i zbeszczeszczą go żywi. (Enoch i Eliasza).

32.

Rzekliśmy: „O Panie, Boże i Zbawco nasz, któż są ci czterej, o których mówileś, że zabije ich Antychryst z powodu zniewagi?” Odpowiedział Zbawiciel: „To są Enoch i Eliasza, Szyla i Tabita”. Gdyśmy usłyszeli te słowa naszego Zbawiciela, ucieszyliśmy się i radowali niezmiernie. I wszelką chwałę i dziękczynienie złożyliśmy Panu i Bogu i Zbawcy naszemu, Jezusowi Chrystusowi. On jest tym, któremu należy się chwała, cześć, potęga, panowanie, moc i sława, jak i Ojcu dobremu razem z Nim i Duchowi Świętemu. Dawcy życia, teraz i w każdym czasie i na wieki, wieków, Amen.

Jan Józef Szczepański

RÓZDŹKARZ

(dokończenie)

Wspominał tę scenę z pewnym wzburzeniem, lecz bez śladu dawnej goryczy. Gdyby Aleksy żył...

Głowa śpiącej kobiety znów chyliła się ku niemu, wstrząsana żałościem biegiem pociągu, potrzebująca oparcia. Włosy były tłuste, pełne łupieżu. Tym razem nie umknął. Czekał chwilę cierpliwie, potem podsunął ramię pod ciężką, rozgrzaną skroń.

Gdyby Aleksy żył, poszedłby jutro do niego, żeby przyznać mu rację i zwierzyć się z nowych postanowień. Z jakich? Trzeba było sformułować, mimo że ciało Aleksiego zgnęło od dawna pod gruzami którejs z warszawskich kamienic.

Ostrożnie, aby nie obudzić śpiącej wydobyl z wewnętrznej kieszeni notes i automatyczny ołówek. Przez chwilę zastanawiał się czy umieścić na górze kartki coś w rodzaju tytułu, ale zorientował się, że ten pomysł jest tylko wybiegiem, mającym odwrócić moment przystąpienia do konkretnej pracy. Narysował więc pochyloną lekko jedynekę i zakreślił ją szerokim nawiasem. Jakiś czas obracał jeszcze w myśli zdanie, szukając z nawyku słów barwnych, dających świadectwo jego kunsztowi. — Przecież to tylko dla mnie — zreflektował się nagle i przyłożywszy ołówek do papieru napisał wąskimi, klinowatymi literkami.

„Zadaniem literatury, tak samo jak każdej innej sztuki, jest budzenie czujności ludzkiej (oczywiście czujności samego twórcy przede wszystkim) na zdumiewający fakt istnienia”.

Przeczytał to twierdzenie kilka razy, nie bardzo pewien czy udało mu się jasno ująć istotę zagadnienia. Czegoś brakowało jeszcze. Uzupełnił:

„a) Czujność nie ma nic wspólnego z leniwą egzaltacją. Jest jej przeciwieństwem. Jest uporczywym wzmaganiem świadomości”.

W mózgu jego falowały chaotycznie projekty dalszych postulatów. Nie wiedział jak je uszeregować. Cóż, najwyżej zmieni potem kolejność. Pisał tak, jak myśli narzucały się same:

„2) Głód twórczy jest zobowiązaniem. Można go zaspokoić tylko maksymalnym, twórczym wysiłkiem.

3) Artysta, a szczególnie pisarz, powołany jest do nieustannego badania hierarchii ważności spraw i rzeczy, do dźwigania jej z powrotem z zamętu, w jaki wtrąca ją krótkowzroczność, pośpiech i ośpienie praktycznej codzienności. Wymaga to zarazem przeprowadzenia stałej redukcji ku górze, ku czemuś, co jest jedynie istotne.

4) Za tę pracę twórca ponosi najwyższą odpowiedzialność, bo każde jego sformułowanie wywołuje w umysłach ludzi natychmiastowe, praktyczne konsekwencje”.

Głowa złożona na jego ramieniu obsunęła się nieco. Przez sztywny brezent wiatrówki czuł ciepłą miękkość policzka i twardą wypukłość policzkowej kości. Włosy muskały mu dół twarzy. Wydzielały ostry, mysi zapach. Chciał schować notes, ale bał się poruścić. Nie tylko ze względu na ko-

bietę. Pragnął zatrzymać jak najdłużej dziwne uczucie, które rodziło się w nim pod wpływem tego cudzego snu, powierzonego tak bezbrinnie jego opiece. Oto bez żadnego wysiłku, bez żadnych skomplikowanych uzasadnień doświadczał niezmiernie kojącego skupienia życzliwości. Obejmował nią bez zastrzeżeń wszystkich, uszpionych już towarzyszy podróży: dwóch zażywnych techników, starszkę w zakrzytyjnym kapeluszu, wygolonego żołnierza, bladą dziewczynkę i jej matkę. Nawet wstecz, tych których już nie było: obie niemądre paniusie, dziewczynę w turystycznych butach, grubego księdza i Borkowskiego. Był w zgodzie z ludźmi. Nie drwił z nikogo, nikim nie gardził, nikomu nie pragnął się narzucić swą niedocenioną ważnością. — To pewnie dlatego, że straciłem złudzenia co do siebie — pomyślał. Delikatnie oparł notes na kolanie i u dołu strony dopisał punkt piąty.

„Ze względu na te konsekwencje twórca podejmuje się trudnej roli przewodnika. Ale on sam jest pierwszym dziedzicem swoich odkryć. Każdy może je przyjąć lub odrzucić. On musi je sprawdzać swoim życiem. Jeżeli da się upoić zachwytem nad własnym dziełem lub oszołomić podziwem innych, wówczas nie poprowadzi nawet siebie. Gorzej: straci czujność i przestanie być wiarogodnym poszukiwaczem drogi. Jego postawa jest równie ważna jak jego kunszt”.

Pociąg przyhamował, zaczął pod skakiwać z dudnieniem i łoskotem. Kobieta obudziła się nagle, przetarła oczy. — Ach przepraszam, tak się na panu oparłam...

— Nic nie szkodzi — rzekł uśmiechając się łagodnie. Zamknął notes, ale nim doniósł go do kieszeni, cofnął dłoń i powtórnie odszukał zabazgraną karteczkę. Na samym jej skraju niezdecydowanie napisał maczkiem słowo „pokora”.

W okno buchnął chrząst i szum, wyciągnął się w zdyszana smugę migającego, złotego blasku. Jakiś inny pociąg mijał ich w szalonym pośpiechu. Ramiona kobiety przebiegł dreszcz. — Przestraszyłam się — powiedziała. Wtulił się plecami w kąt przedziału i wsłuchiwał się w milknący podmuch. Pod obojętkami i w przeliku czuł delikatny trzepot oczekiwania. Był wruszony. Wiedział, że źródło bije.

**

Było jeszcze za wcześnie, żeby dzwonić do drzwi znajomych. Przechadzał się po odbudowanej niemal kolonii Staszica, snując plany. Nie czuł zmęczenia. Ten moment samotności w dosypiającym ostatnich chwil snu mieście był cennym podarunkiem, z którego należało zrobić możliwie najlepszy użytek. Na ulicy Wawelskiej, koło domków fińskich ustawionych na skraju byłego lotniska, piętrzyły się spoza parkanu ogromne drzewa. W ich wilgotnych konarach tał się jeszcze milczący osad nocy. Wyglądały tak, jakby na pół rozbudzone wróciły tu z ojczystego lasu i rozpamiętywały teraz w tęsknej zadumie dotknięcia jeleniej sierści na swych świątkach ciałach. Przyglądał się im z szacunkiem, lecz bez onieśmienia. Wiedział, że potrafi o nich napisać. Potrafi napisać o

wszystkim. Gdzieś od strony Alei Niepodległości słychać było trzęsący warkot motorów. Przystanął żeby zdecydować się na wybór. Miał pomysł trzech esseyów naraz. Znał już nawet tytuły:

„Szum oceanu”.

„Spojrzenie z góry”.

„Napój” — a może lepiej „Źródło”.

To się okaże. Wszystko razem stanowić będzie cykl. Trochę za mało na tomik. Wtem przypomniał sobie jeszcze dwa podobne w typie utwory — o malarstwie i o muzyce — napisane parę lat temu i schowane do szuflady. Akurat dobra całość. Zanim się z tym upora wyjdzie wznowienie „Furor astralis”, ludzie przypominają sobie jego nazwisko. Ogarnęło go radosne podniecenie. Znów będą w prasie recenzje i fotografie, znów listy od nieznanym osobom, dyskusje w kawiarniach.

Wśród nierównego klekotu kopyt nadjechał wóz wyładowany cegłą. Za nim drugi. Minęły go, dążąc w stronę rozpoczętej na Polu Mokotowskim budowy.

Zawrócił. Może dostanie jaką nagrodę? Trzeba będzie przy okazji wygłosić jakąś mówkę. Wystąpi w czarnym ubraniu (przydaby się dać je przedtem do pralni chemicznej). Taka nagroda to przynajmniej rok zapewnionej egzystencji. A może od razu rzeknie się połowy na jakiś szlachetny cel. Na przykład na odbudowę Warszawy, albo na sieroty po partyzantach. Mogą to uznać za sposób szukania popularności. Ludzie we wszystkim dopatrują się interesu.

Gorzej będzie z mową. Nigdy nie umiał tego robić. — Pano wie — zacznie, — zaszczyt który mnie spotyka jest dla mnie prawdziwą niespodzianką... Ach, gdyby Aleksy żył. Nagle przystanął znowu. — To śmieszne — zgał się, na pół rozśmieszony, na pół gniewny. Wydobyl z kieszeni notes i przebiegł oczyma zapiski z przed paru godzin. Zmieszany i zawstydzony skręcił w ulicę Suchą. Gdzieś daleko ziewnęła przenikliwie syrena. Niskim burczeniem odpowiedziała jej druga. Z różnych stron zapiały inne, jak przebudzone koguty. Spojrzał na zegarek. Siódma. Zaczynał się dzień pracy.

Koniec.

NA ZAMOWIENIA
KIEROWANE

ADMINISTRACJI
„DZIS I JUTRO”

SP WYD „PAX”

WYSYLA POWIESC

BRUCE MARSHALL

CHWAŁA CORY

KROLEWSKIEJ

PROSIMY O WPŁATE
ZŁOTYCH 750 za EGZ.
NA KONTO PKO 1-8515

LUB PRZEKAZEM
POCZTOWYM

CZYTAJCIE

**»S Ł O W O
POWSZECHNE«**

TYDZIEŃ KULTURALNY

Teatr

Zmarnowany temat

Przeciętny obserwator wysiłków współczesnej dramaturgii polskiej westchnie sobie zapewne z goryczą po obejrzeniu którejś tam z rzędu prapremiery polskiej: że też tak trudno nadać enocie wyraz sceniczny...

Dopóki po scenie chodzą ludzie żyli, ludzie, których autor sztuki pragnie potępić, jest jeszcze jako tako — widownia ma złudzenie, że podgląda ludzkie życie. Wątpliwej wartości jest to życie, ale ma jedną zaletę: jest prawdziwe. Skoro jednak wyjdzie z za kulis, tzw. bohater pozytywny, widzów ogarnia lęk i boją się, że ujrzą nieprzekonywującą papierową sylwetkę.

Wygląda na to, iż wady i ułomności są bardziej sugestywne, że łatwiej je pokazać na scenie. Ktoś bardzo niedawno idąc po fałszywej nieco drodze rozumowania, stwierdził nie bez pesymizmu, iż na postać pozytywnego bohatera w sztuce teatralnej czy w powieści czekamy daremnie: nie ma go w życiu, nie może go być w artystycznej transkrypcji. Skoro realizm to prawda — a skoro prawda to prawdziwszy częściej spotykany człowiek zły niż dobry, którego jak wiadomo już starożytni ze świeczką w rękę na tym padole doszukać się nie mogli.

Przesadny ów pesymizm wynika z tego, że zbyt wygórowanych żądań jakie zwykliśmy wysuwać pod adresem bohatera pozytywnego. Wydaje nam się, że człowiek tym mianem ochrzczony przez współczesność musi być koniecznie aniołem zbłąkanym na ziemi. I trzeba się tu na coś zdecydować. Albo szukamy anioła i wówczas praca nasza jest bezskuteczna — albo szukamy człowieka, z większą niżby się to mogło nam wydawać szansą na pomyślny rezultat poszukiwań.

*

Janusz Teodor Dybowski zamierzył rzecz wielką.* Chciał pokazać w przekroju ideologiczne kontrasty wsi. Wyszła z tych zamierzeń ledwie miejscami udana satyra na bogaczy wiejskich. Druga strona walcząca jest zupełnie niewidoczna. Autor zdobył się na niezły wyraz niechęci do pani Trzęsowskiej, zabrakło mu pasji w chwili tworzenia bohaterów pozytywnych. Jeden może Wicek wygląda jako tako (a i to raczej zasługa żywiołowości zdolnego autora Teodora Gendery. Stał on najczęściej samotny naprzeciw gromady bogaczy — w dodatku, ze względu na brak należytego do walki przygotowania — bezradny).

Reszta postaci proletariackiego frontu mdła i bez życia. Najgorszy jest oczywiście Marek Bryła. (Tu bezradność autora podała sobie ręce z zupełną surowością aktora) Nie wierzę by człowiek ten wywodził się z Wieków. A jeśli nawet tak było, to „wysokie nauki” zmieniły go na... niekorzystnie. Pasja twórcza to nie tylko szastanie się po scenie — spodziewaliśmy się raczej żarliwości w przekonywaniu przeciwników. Ale jakże tu przekonać, skoro człowiek z tej wsi się wywodzący, nie potrafi z jej mieszkańcami się dogadać. Nie potrafi mówić zrozumiałym dla reszty językiem. Wszystko co robi Marek jest słyszane. Ideologicznie i praktycznie. Cóż z tego kiedy sposób wykonania jest zupełnie nieprzekonywujący, sztuczne i mało prawdopodobne jest, by działalność jego skończyła się sukcesem.

Markowi sekunduje godnie w sztuczności jego narzeczona Stefa, sylwetka zupełnie bez rumieńców życia. Do poznania większej liczby osób spośród biedoty wiejskiej długo brakło Dybowskiemu odwagi — zrobił to w ostatecznej scenie, ale znowu z jakimś sztucznym patosem niezgrabnie i nieprzekonywująco.

Im dalej za to od tej linii frontu na prawo, tym lepiej. Do Janika nie można mieć pretensji, uznać ją raczej można za udaną w aspekcie zamierzeń autora. Sylwetki Weroniki, Marcina Białego, Agnieszki, Marcjanny, Józefa i Jana trafne, zarzuć tu tylko można wykonawcom to, że (z wyjątkiem Giełmiewskiego) ciążyli w stronę szarzy. Zupełnym nieporozumieniem, jakimś dziwolągami mistycznym - wernyhorycznym jest postać Pawła, dziada Weroniki. (Kapitałnym nieporozumieniem reżyserskim jest tu scena, kiedy dziadzio Paweł stwierdził, iż teraz skoro pojawił się Marek i jemu podobni, on, dziadzio Paweł, może już umrzeć, a wszyscy uczestnicy tej sceny z Stefą i Markiem na czele uśmiechają się do niego radośnie, jakby aprobując to dziadziowe stwierdzenie — jakby więc stając tym samym po stronie Weroniki, która już na mszę dawała, by zbędna gęba odeszła z tego świata. Należało chyba choćby najdrobniejszym gestem zaprotestować przeciw tym słowom dziadka).

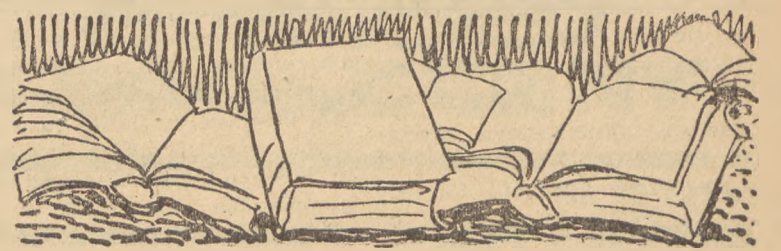
*

Zupełnie nierozumiem dlaczego Józef Maśliński — każe nam przyjąć wydarzenia w Białej za odległą historię. Czyżby konflikty tego typu już znikły? Nie sądzę. Długo jeszcze będziemy mogli je obserwować. Konflikty te czekają na swoje sceniczne interpretacje. Trzeba, by teatr stał się sprzymierzeńcem Marka i Wicka i pomógł im zwyciężyć zachlannych Trzęsawskich i Białych. Teatr tego dokona (choćby na omalwanym przykładzie widać, jak wiele dobrych chęci i szczerego serca wkładają w to aktorzy), jeśli dostanie lepsze sztuki. „Zapora” jest niewątpliwie dziełem dobrej woli, szlachetnych intencji i pewnych zdolności technicznych, ale niestety dziełem skromnych tylko możliwości twórczych.

(t. b.)

* Państwowy Teatr Powszechny w Warszawie, filia Teatr Mały. Janusz Teodor Dybowski: „Zapora”, komedia w trzech aktach.

Z teki recenzenta



Zygmunt Lichniak

Chińska wyprawa »szalonego reportera«

Gdyby ktoś usiłował napisać historię reportażu jako gatunku literackiego, pozycja Egon Erwina Kisch byłaby chyba pozycją czołową, a w każdym bądź razie twórczość reporterska tego pisarza stanowiłaby jeden z bogatszych i ciekawszych rozdziałów tej historii.

Powtórzone ostatnio wydanie jego książki poświęconej sprawom Chin współczesnych* potwierdzi wśród wielu czytelników polskich entuzjastyczne opinie, wygłaszane przy różnych okazjach na temat techniki pisarskiej, czy wartości politycznej wystąpień czeskiego reportera.

Jako żarliwy komunista, we wszystkich swoich wyprawach reporterskich tropi zajadłe zmorę wyzysku kapitalistycznego, piętnuje wszystkie przestroje niesprawiedliwości społecznej, rzuca ostre oskarżenia wszystkim siłom przemocy i gwałtu. Egon Erwin Kisch potrafi najzawilsze problemy społeczno - polityczne przedstawić w sposób niezwykle prosty, a jednocześnie niezwykle frapujący.

Tajemnica jego umiejętności pisarskich polega chyba przede wszystkim na ciągłej nowości sposobu relacjonowania, interesujących go w danej chwili wydarzeń. Demaskatorskiej ambicji reportera służy wyśmienicie zawsze nowa, zawsze plastyczna i zawsze żywa forma relacji. Znaczenie tej formy nigdzie chyba nie jest tak wielkie, jak w reportażu. Nikt chyba tak dobrze tego nie rozumiał jak Egon Erwin Kisch.

„Szalony reporter” — jak sam się kiedyś tytułem jednej ze swoich książek nazwał — w „Chinach bez maski” potrafi w dwudziestu dwóch rozdziałach zastosować kilkanaście nowych sposobów relacji. Od patetycznego opisu („Na ruinach Wusungu”) poprzez smutną parodię ballady („Kapitalistyczna ballada o Żydach z Bagdadu”) czy formę pozornie intymnego listu („Świątynia Kar”), dochodzi do ciekawej koncepcji reportażu, zamykającego się w ramach rozmowy („Intratny proceder”), a nawet potrafi reportażowi nadać formę krótkiego dramatu („Teatr na dachu Grand Hotel de Pekin.”)

Pomysłowość formalna Kisch nie sprowadza się jedynie do kwestii wyboru takiej, czy innej metody, relacji. Potrafi on w ramach każdej relacji wykorzystać wszystkie szanse jej ożywienia i uatrakcyjnienia. Nie cofa się — i postępuje wobec wymogów reportażu bardzo słuszenie — przed zastosowaniem pomysłowych tricków gra

ficznych. Tak na przykład w jednym ze swoich reportaży („Ryksza, ryksza”) chcąc plastycznie przedstawić czytelnikowi osaczenie każdego przechodnia tłumem chińskich ryksz daje po prostu taki obrazek graficzny:

	Ryksza	
Ryksza		Ryksza
Ryksza	ty	Ryksza
Ryksza		Ryksza
	Ryksza	

Podobnych przykładów można byłoby przytoczyć znacznie więcej. (Choćby graficzne oddanie modulacji głosu tragarzy w reportażu „Godown”) Tego typu chwytów formalne pozwalają autorowi na maksymalne ułatwienie percepcji przedstawianych przez niego treści.

Oczywiście, zwrócenie uwagi na formalny kształt dzieła Kisch nie może i nie powinno stwarzać sugestii, że Kisch to przede wszystkim mistrz i spec od typowo reporterskich tricków.

Wspominaliśmy już o zdecydowanej i określonej idei jego reportażu, a tu dodać wypadnie, że idea ta dzięki świetnej technice pisarskiej zyskuje na wyrazistości, ukażuje wyraźniej swoje oblicze. Nawet wtedy kiedy Kisch sięga do tematów pozornie sensacyjnych tylko („Dom wariatów”, „Świątynia Kar”, czy „Przypadkowa wizyta u eunuchów”), zawsze potrafi wydobyc właściwe akcenty, u uwypuklając nimi społeczno-polityczny aspekt zagadnienia.

Posłowie Stanisława Brodzkiego, zamykające drugie wydanie „Chin bez maski” słusznie podkreśla tę właśnie zdolność i tę siłę zmarłego przed dwoma laty reportera.

Katolika mogą razić wyraźne różnice światopoglądowe Kisch. Polityczna tendencja jednak, która jest główną siłą kierującą piórem czeskiego reportera, to zdrowa i arcyślusna tendencja walki z wyzyskiem kapitalistycznym, niesprawiedliwością społeczną i przemocą polityczną sił wrogich postępowi. Szlachetność tej tendencji i jej głęboki sens zjednać muszą dla pisarza komunistycznego prawdziwy szacunek i uznanie także wśród ludzi innego światopoglądu, a przede wszystkim wśród katolików.

* Egon Erwin Kisch: „Chiny bez maski”, wyd. II z posłowiem Stanisława Brodzkiego, przekład autoryzowany Tadeusza Zabłudowskiego. „Prasa Wojskowa”, Warszawa 1949. stron 204.

URBI ET ORBI

(dokończenie ze str. 5)

townych. Lecz choć byśmy weszli na sam szczyt kopuły i najbardziej wyteżali wzrok — dojrzymy najwyżej zarysy Rzymu, przysadzistą sylwetkę zamku Św. Anioła, dzwonnice Awentynu i koliste ruiny Colosseum — dalej horyzont zalewa się mgłą. Ludzki wzrok za wodzi. Dlatego też dane mu są perspektywy bliskie, które jednak pozwalają mu kierować swe kroki pielgrzymie ku chwale Kościoła.

Na wzgórzach Watykanu zęgnął się z Rzymem święty Piotr i zdawał swemu Panu rachunek z pracy robotników na winnicy Pańskiej. Jego perspektywy były szersze od naszych. Jego wzrok sięgał dalej ponad kontury Colosseum. Widział nie tylko przyszłe budowle średniowiecza, nie tylko wielkość renesansu, nie tylko niepokój naszej epoki.

Wojciech Kętrzyński

Do wszystkich naszych Czytelników
zwracamy się z apelem,
aby stali się naszymi prenumeratorem

howiem

PODSTAWĄ BYTU PISMA

1951

PRENUMERATA

Konto PKO I-727 Warszawa

Administracja „Dziś i Jutro”
Warszawa, ul. Mokotowska 43

POPIERAJCIE
KATOLICKI
UNIwersytet LUBELSKI

Co pisać inni...

W ostatnim (21) numerze „Znaku” znajdujemy trzy studia, poświęcone zagadnieniom literatury katolickiej: Zofia Nosalewska, pisząc o „Dramacie chrześcijańskim Claudela”, stara się jednocześnie określić, na czym polega istota dramatu chrześcijańskiego:

„Jądrzem najistotniejszym dramatu jest konflikt. Jakość konfliktu określa jakość dramatu. Co tedy wyróżnia dramat chrześcijański od niechrześcijańskiego? — Jasne jest, że chrześcijański jest nie ten dramat, którego autor jest chrześcijaninem, ani nie ten, który czerpie temat z religii Chrystusowej, może nawet i nie ten, który stawia problemy i po chrześcijańsku je rozwiązuje, — ale ten, którego konflikt sam w sobie jest chrześcijański”.

Na czym polega ów „konflikt chrześcijański”? „Ten konflikt z istoty chrześcijański to bój natury z łaską. Nie ciała z duchem, ale natury, pełnej natury człowieka ducho-

wo - cielesnej, wolnej, choć skazanej i zmyłonej w swym pędzie naturalnym ku Bogu — przez grzech”.

Taka koncepcja dramatu chrześcijańskiego wydaje nam się całkowicie słuszną. Warto nadmienić, że można ją właściwie rozciągnąć na całą literaturę katolicką. Tu jednak trzeba wysunąć bardzo istotne zastrzeżenie, o którym niedawno przypominał Jan Dobraczyński na łamach „Dziś i Jutro”. Otóż termin „literatura katolicka” może mieć dwa znaczenia. W szerszym znaczeniu — należy do niej każdy utwór, który nie zawiera elementów wyraźnie sprzecznych z doktryną katolicką. W ściślejszym (i głębszym) znaczeniu literatura katolicka to literatura o **problematyce katolickiej**. Pojęcie problematyki katolickiej pokrywa się właściwie z pojęciem owego „konfliktu chrześcijańskiego”, o którym pisze autorka o mawianego przez nas szkicu. Można tylko dodać, że prawdziwy **realizm katolicki** (związany nieodzownie z uniwersalizmem) reprezentuje tylko literatura o problematyce katolickiej, bo tylko ona ukazuje właściwe proporcje rzeczywistości.

Takim właśnie pisarzem, który kształtuje swoją twórczość wokół problematyki katolickiej, jest Paul Claudel. „Wydaje mi się niemożliwością pojąć dramaty Claudela, — pisze Nosalewska — jeśli się nie uchwyci istoty konfliktu. A znów, aby ten konflikt między naturą a łaską i jego grę zrozumieć, trzeba dojść do sedna skażenia natury ludzkiej i trzeba choć trochę wiedzieć, co to łaska Sądzę, że im kto głębiej to pojął — tym głębiej i dzieło Claudela odczuje”.

★

Drugim szkicem o literaturze zaangażowanej w problemy „konfliktu chrześcijańskiego” jest Studium Marii Morstin - Górskiej pt. „Dwie postacie kobiece francuskiego Ruchu Oporu”. Chodzi tu o dwie, zmarłe podczas wojny, młode pisarki francuskie, **Simone Weil i Marię Martin**. Ich twórczość, tak różna w swoim nastroju, a jednocześnie związana wspólnym celem walki, — jest dowodem, jak rozmaite kształty może przybierać chrześcijański dramat Łaski. Simone Weil, autorka tomu rozważań pt. „Łaska i siła ciężenia” (La Pesanteur et la Grace), jest wyrazieliwą „augustyńskiego” nurtu w chrześcijaństwie, i to nawet w skrajnej postaci. Jej bohaterkie i żarliwe poddanie się miłosnemu działaniu Łaski kojarzy się ze skrajnym spirytualizmem, który w pewnych momentach zbacza już z linii uniwersalizmu chrześcijańskiego.

Inną drogą kroczyła poetka Marietta Martin, która reprezentuje „franciszkański” styl chrześcijański. Pośród pełnego cierpienia życia, zakończonego śmiercią w więzieniu hitlerowskim, niosła ona niezwykłą radość, która znalazła wyraz w jej poezji. Jeden z jej krytyków pisze, iż „jest ona jak święta z legendy, która tańcząc na chwałę Bożą dostała się do nieba”.

★

Trzecim studium o tematyce literackiej w tym numerze „Znaku” jest essay Waława Borowego pt. „O wierszach religijnych Mickiewicza”. Poprzez subtelną analizę formalną kilku liryków wielkiego poety, krytyk wydobywa ogromne bogactwo treści zawarte „w tych drobnych rozmiarach wiersza”. Prof. Borowy zwraca uwagę, że liryka religijna Mickiewicza nie jest zjawiskiem prostym, że poeta długo i mozolnie, pośród mnóstwa problemów moralnych i artystycznych, kształtował swoją poetycką wizję problematyki chrześcijańskiej, która potem tak głęboko przeniknęła III część „Dziadów”.

Obok tych trzech rozpraw znajdujemy w numerze utwór, który jest konkretnym wyrazem poszukiwania kształtów dla realizmu katolickiego: nowelę Jerzego Zawieyskiego pt. „Koniec Ucieczki”. Przeniesiem zagadnienia „konfliktu chrześcijańskiego” z problematyki indywidualnej na płaszczyznę społeczną jest drukowany na wstępie numeru rozdział z „Humanizmu integralnego” Jakuba Maritain’a pt. „Problem Królestwa Bożego”. Widzimy więc, że również ten numer „Znaku” jest świetnie skomponowany (podobnie jak poprzedni numer, skupiony wokół problemu postawy katolickiej, — i jak wszystkie zresztą numery tego miesięcznika).

Z. K.

Literatura polska w oczach cudzoziemca

Drukując poniżej fragment artykułu prof. Karola Hyarta („Przebieg literatury słowiańskiej w 1943 roku”, nr 6 miesięcznika „Synthes”,*) wydawanego w Brukseli, chcemy jedynie dać naszym czytelnikom szansę zapoznania się z opinią profesora sławistyki (na uniwersytecie w Liège), którego sądy są — być może — charakterystyczne dla cudzoziemców, interesujących się naszą literaturą, ale który ma — prawdopodobnie — za mało danych dla dokonania szczegółowej i pełnej oceny wszystkich wydarzeń literackich w naszym kraju. Red.

„Z końcem 1948 r. po raz pierwszy Rząd Polski ogłosił oficjalną literacką nagrodę państwową. Otrzymał ją Lucjan Rudnicki za „Stare i nowe”. Utwór ten jest pierwszym tomem pamiętników pisarza, a jednocześnie wzorem literatury marksistowskiej. Autor opowiada wspomnienia ze swej młodości językiem prostym, tonem naturalnym. Syn i wnuk chrześcijański, Rudnicki spędził dzieciństwo w środowisku wiejskim, co wycisnęło na nim swoje piętno. Zwolna jednak jego osobowość rozwijała i zbliżała do marksizmu. Nie demonstrował zbyt wysokiego poziomu literackiego, pisarz umie zainteresować czytelnika malowniczością swych opisów i znajomością psychiki polskiej.

Najważniejszą nagrodą literacką przyznaje tygodnik „Odrodzenie”. W 1948 otrzymał ją Jerzy Andrzejewski za powieść „Popiół i diament”. Faktura utworu zawiera pewne analogie ze wspomnieniami Rudnickiego. Styl jest prosty, jasny, pozbawiony sztuczności. Autorowi chodziło o pokazanie obrazu społeczeństwa. Wybrał sobie w tym celu kilka dni maja 1945 te właśnie, kiedy była ogłoszona kapitulacja Niemiec. Ale problem końca wojny stoi u Andrzejewskiego, na drugim planie. Pisarz stara się przedstawić środowisko burżuazyjne, w którym opinie były niezdecydowane, często nawet zupełnie pomieszane. Prawie cała akcja toczy się w hotelu Metropol, którego życie pokazuje nam Andrzejewski w szeregu scen kinematograficznych. Powieść nie ma intrygi: autorowi wystarcza pokazanie działalności młodzieży, po zostającej pod wpływami faszystowskimi. Jeżeli można powiedzieć, że realizm powieści rosyjskiej jest realizmem dynamicznym — to powieść Andrzejewskiego ma charakter zdecydowanie statyczny. Autor ogranicza się do malowania, pozostawiając czytelnikowi trud wyciągnięcia wniosków.

Konkurentem Andrzejewskiego do nagrody „Odrodzenia” był Tadeusz Borowski. Przedstawił on zbiór pięciu nowel zatytułowanych „Pożegnanie z Marią”. Tendencja utworu różni się od obu poprzednich ze względu na stosunek do formy: pisarz pisze językiem trudnym i używa obrazów wyszukanych. Opowiadania pokazują różne aspekty życia polskiego podczas wojny — okupacja niemiecka i obozy koncentracyjne są dla nich tłem. Największą zasługą autora jest to, że pokazuje dosyć już znane tematy, pod kątem całkowicie osobistym.

*) Współpracownikami „Synthes” są m.in.: Broglie, Brown, Daniel Rops, de Corte, Gourou, Hayens, J. Huxley, Juenger, Lemaire, Maeterlinck, Maritain, Mounier, Plisnier, de Rougemont, Sertillanges, Strozzi, Thibon.

Kierunkiem przeciwnym marksizmowi jest kierunek reprezentowany przez pisarzy katolickich. Nie można jednak mówić o literackiej szkole katolickiej.

Najważniejszą nagrodą literacką, przyznaną przez pisma katolickie, jest nagroda „Dziś i Jutro”. Otrzymała ją Hanna Malewska, za powieść historyczną, noszącą tytuł, zaczerpniętą z ewangelicznego wersetu „Kamienie wodać będą”. Główną akcją powieści jest budowa katedry w Beauvais w XIII w. za panowania św. Ludwika. Spory między budowniczymi Adamem z Chartres, Hugonem z Avinionu i Mateuszem z Beauvais, stanowią intrygę utworu. Niewątpliwie książka Malewskiej reprezentuje szczególny aspekt współczesnego katolicyzmu polskiego. Wysuwa na plan pierwszy wartości konstruktywne gorącej wiary. Budowniczość katedry przekazała swym następcom świadectwo swojej siły; obecnie kamienie mówią za nich. Chrześcijanie współcześni stanowią także świat trwały.

Jan Dobraczyński reprezentuje inną tendencję katolicyzmu. W 1948 roku opublikował „Wybrańców Gwiazd”, powieść historyczną o temacie biblijnym. Bohaterem powieści jest prorok Jeremiasz. Podczas gdy Malewska posiada pióro stylisty, Dobraczyński pisze językiem prostym, łatwym, zrozumiałym dla każdego. Katolicyzm Malewskiej, przedstawia ideał wysoki, wciąż wymagający doskonalenia; katolicyzm Dobraczyńskiego jest katolicyzmem miłosierdzia i miłości wobec bliźniego.

Zjawiskiem powojennym jest Wojciech Zukrowski, który ostatnio wydał książkę „Piórkiem flaminga”. Ten tom opowiadań fantastycznych jest czymś zdumiewającym w literaturze, w której realistyczne malarstwo wojenne lub walka socjalna wydają się jedynymi tematami literackimi. Analiza sumienia papieża, który zabrał potajemnie cytrynę w dniu upały, przeżycia Łazarza po wskrzeszeniu, fantazje, raczej makabryczne, rojalistów po egzekucji Ludwika XVI oraz inne, podobne tematy mówią o bogatej wyobraźni autora. Poprzednio Zukrowski wydał bajki dla dzieci oraz zbiór wstrząsających opowiadań wojennych. Z początkiem 1949 r. opublikował powieść napisaną zgodnie z zasadami realizmu, której tematem jest uwolnienie miasta przez Rosjan („Ręka Ojca”). Ta skala zdumiewa.

Dobrze by było, aby powstało więcej talentów o równie szerokich możliwościach”.

K. Hyart.

SPROSTOWANIE

Do poprzedniego artykułu: „De Gasperi — felix culpa?” zakradły się dwa błędy, które pragnę przy okazji sprostować. 1. Przedstawiciel lewicy Chrześcijańskiej Demokracji w rządzie włoskim nazywa się Fanani, a nie Tanfani. 2. Dwa pisma, reprezentujące ten kierunek — to „Cronache Sociali”, zgodnie z tekstem, drugie zaś — nie „Politica d'Oggi”, lecz „Politica Sociale”. Za pierwszy błąd nie biorę odpowiedzialności, drugi natomiast był moją pomylką.

W. Kętrzyński

